

0 pułkowniku
Emilu Czaplińskim s'r. 4-5

Lublinianin w Paryżu str. 3

HOROSKOPY '88

str. 12

Jak zostać milionerem str. 11

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

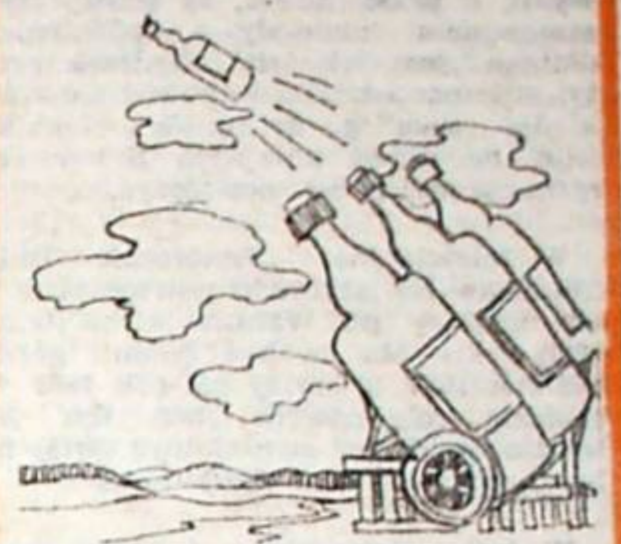
ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

NR 1 (899)

10 stycznia 1988

Cena 20 zł



1988 — rozbrojenie alkoholowe?
Rys. Józef Tarłowski

Najdoskonalsza imitacja życia

Rozmowa z Krzysztofem Pytlem
mistrzem międzynarodowym szachów



Fot. Przemysław Ostrzyżek

— Szachy, osobiste hobby, kameralna niegdyś gra dla „zabicia czasu”, stały się obecnie wielkim widowiskiem, show obserwowanym przez miliony widzów na całym świecie. Jak to się stało?

— Całkiem po prostu. Zmienił się świat, rozrosły się środki komunikacji. Cały ten proces dotyczy zresztą nie tylko szachów. Coraz szerzej zaczyna się mówić o krykiecie, baseballu: elementy różnych kultur zaczynają się przeniknąć. Tak funkcjonują nowoczesne mass media. W rezultacie nawet

nasz Dziennik Telewizyjny odważył się niedawno zacząć swój program od meczu Kasparow-Karpow. Na owa światową ekspansję szachów nie mały wpływ wywarła także osobowość Fischera. On pierwszy skutecznie wy-mógł uznanie zawodu szachisty za profesję, on narzucił praktycznie obowiązujące warunki rozgrywek, on wynegocjował stawki finansowe. Jego zastąpił dla propagandy szachów są ogromne. A przy tym ta gra to naj-

Dokończenie na str. 8—9

Gra w karty czy profesjonalista?

Rozmowa z Jackiem Poletyłą
mistrzem międzynarodowym brydża sportowego



59

Fot. Przemysław Ostrzyżek

— Gospodarka zbyt wolno nam się reformuje, długi walutowe urosły, rynek się spauperyzował, piłka nożna zawalita, nawet pingpongiści coraz słabsi... Potrzeba nam jakichś sukcesów, bo inaczej oszalejemy z niedoli. I otóż okazało się, że sukcesy są. Przeważnie zagraniczne, a w dodatku rodem z Lublina. Można bowiem liczyć nie tylko na fryzjerstwo damskie, czyli złote rączki i niezawodny gust europejski pani Loni Łaniewskiej ale także na tegie mierzownicę, silne nerwy brydżystów z nierozsłigowej drużyny AZS-u Lublin, w

tym głównie na panów Jacka Poletyłę i Zbigniewa Chomicza-Barę. Tak?

— Obywatel tu sobie żartuje...

— Uchowaj Boże...

— Tymczasem polski brydż sportowy od lat należy do czołówki europejskiej.

— A lubelski?

— W ubiegłym sezonie zespół brydżowy AZS-u Lublin, w którym gram od 85 roku, zdobył trzecie miejsce w rozgrywkach o drużynowe mistrzo-

Dokończenie na str. 8—9

z notatnika

11 1988. Coraz bliżej XXI wieku! Tegoroczny Sylwester spędziłem w domu przy telewizorze. Gdyby nie sąsiad, który po północy zjawił się z butelką szampana, skończyłoby się na lampce wina. Telewizja pokazywała nam tasemcowe kalejki, które ustawiły się przed sklepami monopolowymi, a prasa pisała, że transporty z szampanem nadeszły z opóźnieniem, dlatego „jest jak jest”. Wniosek prosty: szampana trzeba kupować wówczas, kiedy „rzucą” go na rynek i chomikować, bo przed kolejnym Sylwestrem sytuacja może się powtórzyć.

W telewizyjnej „Panoramie Dnia” Stanisław Kwiatkowski powtórzył dowcip krążący po Warszawie na temat 1988 roku. Ma on być średni: gorszy niż rok 1987, a lepszy niż rok 1989. Osebiście wolę dowcip (choć ten jest bardzo gorzki w swojej wymowie) niż harraoptymistyczne zapowiedzi.

W kilku dziennikach i tygodnikach znalazłem szopki noworoczne. Najbardziej podobają mi się ta pióra Kazimierza Pawełka na łamach „Kuriera Lubelskiego”. W stolicy — bez rewelacji: zbyt to dla mnie wszystko ugrzecznione. Ciekawe, że nikt jeszcze nie wpadł na pomysł, aby ogłosić konkurs na szopkę noworoczną, zwłaszcza, że od dziś weszła w życie ustawa o przeciwdziałaniu praktykom monopolistycznym w gospodarce narodowej. Kiedy i w satyrze?

Program sylwestrowy w TV — bardzo dyskusyjny. Wolałbym więcej uśmiechu, a mniej krwi. Kryminałów mamy dosyć w codziennym życiu człowieka, więc jakiś relaks też jest potrzebny, ale nie taki, w którym trup ściele się gęsto.

Zainteresowała mnie noworoczna ankieta „Sztandaru Młodych” na temat kultury '87: „Bestsellery i buble”. Byłoby się nad czym zastanawiać, gdyby podobną ankietę, ale dotyczącą naszego podwórka, ogłosił któryś z dzienników lubelskich lub „Kamena” (może za rok pomyślimy). Ja w każdym razie mam swoich kandydatów, zwłaszcza od bubli, ale musiałbym poszargać świętości. Lokalne, co prawda, ale bądź co bądź...

Z okazji Nowego Roku chciałbym zacytować głos prof. Hieronima Kubiały z dyskusji w „Krakowskiej Kuźnicy” (zrelacjonowany na łamach „Gazety Krakowskiej”). Oto stosowny cytat, nad którym warto trochę pomyśleć:

„Celem socjalizmu jest dążenie do poprawy materialnych warunków bytu zdecydowanej większości społeczeństwa. Oczywiście, dobro człowieka można definiować bardzo różnie, ale u podstaw każdego «dobra» leży po prostu dobro materialne. Nie godzę się z całą tą sofistyką, która każe mi wybierać pomiędzy «być» czy «mieć». Najczęściej ta sofistyka tworzona jest przez tych, którzy już mają i zastanawiają się na co użyć środków, albo też jest usprawiedliwieniem potrzeby wyrzeźbienia innych. Bywa też często usprawiedliwieniem nieudolności, nieskuteczności systemu gospodarczego. Poprawa warunków materialnych społeczeństwa w swej istocie oznacza zwiększenie skuteczności gospodarczej systemu. W

socjalizmie ze względu na to, komu chce się dać, jawi się coś bardzo szczególnego — tego, co chcemy podzielić, nie ma komu odebrać! Nikt, kto miałby dostatecznie dużo, aby starczyło do obdzielenia większości, nie istnieje! Wobec tego poprawa warunków wszystkich wymaga zrobienia sensownego użytku z uspołecznionych środków produkcji. Dalej — definiując socjalizm przez cele — widzę tworzenie warunków rozwoju osobowości, ale znów nie na zasadzie odpowiedzi wolę «być» niż «mieć», lecz odpowiadając na sensowne pytanie: ile mieć, by być, by móc korzystać z systemu oświatowego, instytucji kultury, mieszkać godnie, odżywiać się prawidłowo, aby wprowadzić indywidualne style tego spełnienia swego człowieczeństwa”.

I jeszcze niezmiernie ważna sprawa: odbyło się posiedzenie Rady Państwa, która postanowiła skierować do dyskusji społecznej „Założenia zmian ordynacji wyborczej do rad narodowych”. Rada Państwa wykonuje w ten sposób wyrażoną w ogólnokrajowym referendum wolę większości obywateli, którzy wzięli udział w głosowaniu i opowiedzieli się za dalszą demokratyzacją życia społeczno-politycznego.

Zwracam uwagę na najistotniejsze propozycje.

Prawo wysuwania kandydatów na radnych posiadają organizacje polityczne, społeczne i zawodowe, rady wojewódzkie PRON, konwenty obywatelskie przy przewodniczących WRN oraz samorząd mieszkańców miast i wsi.

Nazwiska kandydatów na radnych kolegia wyborcze (któ wchodzi w ich skład, o tym mówi wyraźnie punkt III „Założeń”) umieszczają na wykazach i poddają konsultacji na zebraniach przedwyborczych. Dopiero po ich odbyciu ustalił się ostateczną listę kandydatów wpisując na nie nazwiska tych osób, co do których na zebraniach przedwyborczych nie wniesiono uzasadnionych zastrzeżeń.

Proponuje się wprowadzenie alfabetycznego układu kandydatów do każdego z mandatów w okręgu, przy utrzymaniu zasady, że o każdy mandat ubiega się dwóch kandydatów. Ten, który otrzyma więcej ważnych głosów, zostaje radnym.

Ponadto ma istnieć, jak zresztą dotąd, lista wojewódzka. Tutaj liczba kandydatów odpowiada liczbie mandatów. Obowiązuje również porządek alfabetyczny. Za wybranych z listy wojewódzkiej uważa się tych kandydatów na radnych, którzy otrzymali więcej niż połowę ważnych głosów.

Jeżeli o mandat ubiega się dwóch kandydatów, to obaj z nich mają te same prawa. Jeśli któryś z wyborców nie skreśli jednego nazwiska, będzie to znaczyło, że nie dokonał wyboru.

Istnieją dwa warianty listy wojewódzkiej: jedna proponowała to 10 proc. wybieranych radnych WRN, druga — nie więcej niż 15 proc.

Odsyłam do lektury „Założeń” wydrukowanych w prasie codziennej,

tam jest więcej interesujących szczegółów. Niemniej wyrażam obawę, że zbyt krótki jest termin (do 15 stycznia br.) nadsyłania pod adresem Kancelarii Rady Państwa uwag, wniosków i opinii na temat proponowanych zmian w ordynacji wyborczej. Większość obywateli PRL zaczęła rok od trzech dni wycieczki. Jeśli dzięki temu zdołaliśmy nasze siły zregenerować, to dobrze, jeśli natomiast jeszcze bardziej zgnusiliśmy, wówczas i drugi etap reformy gospodarczej może się tak jak i pierwszy ślimaczyć...

A tak na marginesie: Jesteśmy chyba jednym z nielicznych krajów na świecie, w którym dziennik wydajemy na cztery dni (31 grudnia — 3 stycznia). Pamiętam nie tak znów dawne czasy, kiedy (z wyjątkiem dwudniowych świąt) nie było dnia w roku bez nowego numeru gazety. Inna rzecz, że nie było wówczas i telewizji, którą ma coraz lepszy serwis informacyjny. Fakt jest jednak faktem...

21. Obejrzałem w drugim programie TV wstrząsający film amerykański „Papillon”, stanowiący ekranizację książki H. Charrière'a, który skazany w 1931 r. na ciężkie roboty za morderstwo trzydziści lat spędził w obozach pracy w Gujanie Francuskiej i na Wyspie Diabelskiej.

Bohater filmu twierdził, że go niesłusznie skazano, że on nie zabił, niemniej, gdyby nawet zabił, to i tak kara spotkała go straszliwa. Filmu nie da się streścić, trzeba go po prostu zobaczyć...

Spoglądałem na ekran i wracałem pamięcią do 1941 roku, kiedy to po ulicach Chełma hitlerowcy pędzili wynędzniałych jeńców radzieckich, którym kazano dźwigać ciężkie płyty chodnikowe. Jednemu z nich próbowałem podrzucić kromkę chleba. Dostrzegł to niemiecki żołdak i silnie uderzył mnie kolbą karabinu. Mogło skończyć się gorzej...

Dziś na łamach prasy radzieckiej otwarcie dyskutuje się o problemach związanych z napaścią hitlerowską na ZSRR. Wraca się do głęboko błędnej koncepcji Józefa Stalina, iż w miarę zbliżania się do socjalizmu walka klasowa zaostrza się. „Właśnie ta koncepcja — stwierdza na łamach miesięcznika „Nauka i Życie” W. Kulisz — stała się głównym argumentem na rzecz konieczności nasilenia funkcji represyjnych państwa radzieckiego. Całkowicie uzasadniona czujność klasowa przekształciła się w powszechną podejrzliwość, zniknęła jawność, wzmagane było napięcie, wszędzie dopatrywano się masowych zdraj i spisków, upowszechnił się termin »wrog ludu«”.

Represje dotknęły w szczególności sposób dowódców i pracowników politycznych Armii Czerwonej. Według danych nieżyjącego już dziś gen. A. Todorowskiego, z ogólnej liczby 733 wyższych dowódców i oficerów politycznych represjonowano 579 osób, w armii pozostały jedynie 154 osoby. Według innych danych, przytoczonych przez wspomniany miesięcznik, od maja 1937 r. do września 1938 r. poddano represjom około połowy dowódców pułków, prawie wszystkich dowódców dywizji i brygad wszystkich dowódców korpusów i dowódców okręgów wojskowych, większość oficerów politycznych korpusów, dywizji i brygad, około jednej trzeciej komisarzy politycznych pułków. Wśród niewinnie zamordowanych dowódców i oficerów politycznych znajdowali się najwybit-

niejsi: A. Tuchaczewski, W. Blucher, A. Jegorow, I. Jakir, I. Uborewicz, A. Kork, J. Kowtuch, I. Fuczek, I. Uraz, K. P. Dybienie, R. Ejdeman, J. Garmarin (popelnili samobójstwo) i wielu innych.

W wyniku tego od początku wojny tylko siedem procent dowódców miało wyższe wykształcenie wojskowe, zaś 37 proc. nie ukończyło pełnego kursu nauki nawet w średnich szkołach wojskowych. W dodatku groźną sytuacją powiększył fakt, iż większość reprezentowanych dowódców dobrze znała niemiecką organizację wojskową, zaś ci, którzy ich zastąpili, tej wiedzy nie mieli.

Represje wyrządziły też olbrzymie szkody radzieckiej nauce wojennej. Prace naukowe uznanych za „wrogów ludu” zostały wycofane, co zahamowało rozwój myślenia wojskowego dowódców różnych szczebli.

O tym wszystkim doskonale byli poinformowani Niemcy, chociaż pomylili się gen. Halder pisząc w swym dzienniku w 1941 r., iż „Rosji trzeba będzie dwudziestu lat, zanim osiągnie ona poprzedni poziom”. Chodziło mu o radziecki korpus oficerski...

Hitlerowscy najeźdźcy ponieśli klęskę pod Moskwą, w Stalingradzie, pod Kurskiem... Wiele można wymienić pól bitewnych, ale ciągle pozostaje aktualne pytanie, czy zwycięstwo musiało pochłonąć aż tyle ofiar? Czy nie można go było osiągnąć i szybciej i mniejszym kosztem?

Radziecki pisarz, Andriej Woznieński, pisze z goryczą na łamach „Izwestii”: „Niestety, wiele, wiele wycierpieliśmy w powodu dopasowywania się do ustalonych schematów, w powodu panoszenia się ślepej wiary, niepoahamowanego ponurego żywiołu polowań na czarownicę. (...) Uczyliśmy się ze sfalszowanych podręczników historii, z których wykreślono wizerunki Bluchera i Tuchaczewskiego. Jakże mi wstyd, że jako dziecko wierzyłem w oszczerstwa rzucane na tych najniewinniejszych ludzi...”

Dyskusja w ZSRR trwa. Prawdziwa dyskusja, bo nie brak w niej i głosów, w których pobrzmiwa echo kultu jednostki. Niemniej i tam znikają coraz liczniejsze „białe plamy”. Znikają może nawet szybciej niż u nas...

41. Fragmenty tych wspomnień drukowało w kilku odcinkach „Życie Literackie” — teraz przeczytam je w całości. Mam na myśli książeczkę Stanisława Łukasiewicza pt. „Byłem sekretarzem Bieruta”, która ukazała się nakładem krakowskiej KAW.

Tego typu wspomnień ciągle jest niezbyt wiele, poszerzają one naszą wiedzę historyczną (a przynajmniej zbliżają klimat trudnych lat powojennych), ale subiektywizm autora nie może dowolnie lokować w czasie pewnych wydarzeń, bo wówczas traci on (autor) zaufanie czytelników. Na str. 146 czytamy, że głosny „cud lubelski” spieszyl w sukurs Mikolajczykowi podczas kampanii przedwyborczej do Sejmu. Faktycznie „cud” zdarzył się na początku lata 1949 roku, kiedy Mikolajczyk nie było już w Polsce. Łukasiewicz przyspieszył go więc o trzy lata! Oczywiście mogła go zawieść pamięć (choć takie rzeczy trzeba dokładnie sprawdzać), ale przecież błąd powinni skorygować redaktorzy książki (są podane ich nazwiska).

M. A. Jaworski

KRONIKA KULTURALNA

W Lublinie przy ul. Królewskiej otwarto przed świątami księgarnię wrocławskiego Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Przypomnijmy, że cenione „Ossolinum” ufundowane zostało w 1817 r. we Lwowie, a działalność rozpoczęło 19 lat później. Rocznicowa okazja zachęca nasza Bibliotekę im. H. Łopacińskiego do urzadzenia stosownej wystawy, która można oglądać na piętrze gmachu przy ul. Narutowicza 4.

Krajowy Dom Twórczości Ludowej w Lublinie prezentuje 91 prac rzeźbiarzy ludowych, które wypożyczone z Muzeum Regionalnego w Łukowie. Zachęcamy do złożenia wizyty w starolecheńskiej kamienicy przy ul. Grodzkiej 14, gdzie obejrzeć można szopki, świątki i kompozycje rodzajo-

we, wykonane przez artystów o wielkiej wyobraźni i zręczności dłoni.

Barbara Bałdyga, Piotr Kmiec i Walerii Wróblewski to laureaci trzech równo, rządnych nagród (po 20 tys. zł) w lubelskim konkursie „Grafika roku 1987”, na który wpłynęło 55 prac 25 autorów. Jury przewodniczył rzeszowski grafik i malarz, Zygmunt Czyż (o jego twórczości pisaliśmy w nr. 23 „Kamena” z ub. r.), a konkursowa wystawa otwarto 13 grudnia w Klubie MPiK przy Krakowskim Przedmieściu.

Osobom zasłużonym dla Zamościa od kilku lat wędruje na oryginalne wyróżnienia w formie Medalu im. Bernarda Moranda. W tym roku owa nagroda czytelników i dziennikarzy „Tygodnika Zamojskiego” otrzymali: lubelski adwokat, członek lubelskiego oddziału SAP, dr hab. Jerzy Marwicki oraz rzeszowski architekt Andrzej Piątek. Nasze gratulacje.

18 grudnia ub. z. odbyło się zebranie założycielskie lubelskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Konia w Polsce — o czym donosimy z tego względu, że w opisie tej nowej formacji koń jawi się także jako element polskiej tradycji kulturowej. Adres

tyczasowej siedziby stowarzyszenia: ul. Ciepła 7, tel. 211-60.

W drugiej połowie grudnia odbyła się w Kazimierzu Dolnym konferencja: „Społeczność międzynarodowa wobec problemów globalnych”, zorganizowana przez Zakład Stosunków Międzynarodowych Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych UMCS oraz Centralny Ośrodek Metodyczny Studentów Politycznych UW. Był wybitny uczeni, były interesujące referaty i dyskusje.

W Galerii Sztuki Sceny Plastycznej KUL oglądać można 16 prac Jana Lehensteina, artysty, który od ponad czterech dekad mieszka w Paryżu, gdzie na pierwszym Biennale Internationale des Jeunes Artistes (Biennale Młodych) otrzymał Prix de la Ville de Paris (1958), co równoznaczne było z rocznym stypendium w stolicy Francji. Prezentowane cykły to ilustracje do Apokalipsy św. Jana w tłumaczeniu Miłozza Białego, ale wizje artysty wchodzi w pewne relacje z grafiką znaną z powieści fantastyczno-naukowych. Naturalnie, wystawa Lehensteina warto obejrzeć.

Lubelski oddział PP PKZ podpisał kontrakt na remont konserwatorski trzech

spiechlerzy w Rydze (Łotwa) i adaptację dwóch takich obiektów na restaurację: w manierce fińskiej oraz chińskiej. Rozpoczęcie robót przewidziano na wiosnę br.

Grupa studentów III roku matematyki UMCS przebywała na praktyce w Erewanie, pogłębiając swoją wiedzę podczas wykładów i seminariów na tamtejszym uniwersytecie, co zresztą oczywiste. Warto natomiast wspomnieć podkreślić, że również bogaty i intensywny był program kulturalny. Jaki gospodarz przygotowali młodym Polakom. Przedstawiciele uczelni erewańskiej licząc 500 lat, już w styczniu br. sowajta się w Lublinie, by wspólnie z matematykami UMCS przemyśleć wybrane problemy teorii równań różniczkowych i ich zastosowań oraz rachunku prawdopodobieństwa.

Do połowy stycznia czynna jest w chełmskim Muzeum Okręgowym wystawa malarstwa naiwisty z wiechekiego Sędziszowa, Eugeniusza Brozka uważanego za rewalację tego rodzaju sztuki z lat osiemdziesiątych.

Lublinianin w Paryżu

Ireneusz J. Kamiński

PRAWIE dokładnie w rocznicę ostatniego pobytu w Paryżu znów odwiedziłem sobie to miasto. No, może nie tak „sobie”, albowiem zawsze, kiedy coś tam gdzie wypatrzę interesującego, szukam mecenasa, który znajdując sens poza-prywatny w moim zaciekwaniu, zechce sięgnąć po portfel z dewizami i powiedzieć: „Jedźcie, Kamiński, i godnie reprezentujcie nasze społeczeństwo”. Proste, prawda?

Więc podróżuję — z owym błogosławieństwem na ramieniu, pomny moralnych zobowiązań wobec mecenasa. Bodaj tylko, i do tego w Moskwie, bodaj tylko raz rozochociłem się nadmierne i rozegrał partyjkę pokera z Kirgizem, przegrałem doń 20 rubli, zaoszczędzonych na wyżywieniu. Z Kirgizem w Moskwie straciłem dwa „czerwońce” — profetycznej interpretacji tego faktu nie doszukałem się w żadnym „senniku egipskim” czy u Michalidy.

Dla złagodzenia niewątpliwie nagannej wymowy tego incydentu spieszę przypomnieć — zachowując wszelkie proporcje — że Józef Pankiewicz, wybitny wszechmalarz i grafik rodem z Lublina, pojechawszy wraz z Władysławem Podkowińskim po naukę do Paryża (1889), tak ostentacyjnie sprzeniwił się estetycznym upodobaniom swego mecenasa, hr. Ignacego Korwin-Milewskiego, że wkrótce zmusiło to obu młodzieńców do powrotu do Warszawy, gdzie także nie było im lekko. Rzecz w tym, że hrabia, zresztą z papieskiej nomenklatury, człowiek niezmiernie bogaty i absolutnie bezkonkurencyjny w swej pasji kolekcjonera dzieł sztuki, a przy tym obdarzony ognistym temperamentem i skłonnością do pieniactwa, onże zatem akceptował z lubością Pankiewicza jako autora obrazu „Targ za Żelazną Bramą”, utrzymany w stylistyce realistycznej, ale nie mógł strawić odmiennego, już paryskiego malowidła artysty, które powstało pod wpływem impresjonizmu. Inna sprawa, że cenione i zakupione w Polsce przez Milewskiego płótno nagrodzono srebrnym medalem na Wystawie Światowej w Paryżu.

W późniejszych latach hrabiego tak zresztą poniosło, że walczył właściwie ze wszystkimi, publikując broszurowe pamflety, wikłając się w liczne procesy. Częściowo zrujnowany podczas pierwszej wojny światowej, ścigany pozwami sądowymi, schronił się na własnej wyspie Santa Catarina na Adriatyku, mającej status ziem eksterytorialnej. Zmarł w 1926 roku, a jego imponująca kolekcja malarstwa polskiego w tym autotypy wykonane na zamówienie Milewskiego, rozproszyła się po świecie.

Urodzony na Litwie, wykształcony w Paryżu — gdyby diaboliczny hrabia pożył jeszcze lat kilka, powiedzmy: dziesięć, to chyba pogodziłby się z Pankiewiczem, który doświadczywszy różnych poetyk i manier sztuki nowoczesnej, z biegiem czasu kompletnie zniechęcił się do takich fenomenów i zaczął malować obrazy „w tonie muzealnym”, wręcz monachialskim, cenionym właśnie przez Milewskiego, byłego studenta niemieckiej akademii, przyciągającej, jak wiadomo, licznych Polaków. Ale cóż, Pankiewicz zmarł znacznie później (1940), we Francji.

I to jest bodaj najciekawsze w tej historii o przelotnym związku wybitnego artysty z nie mniej wybitnym kolekcjonerem. Myślę, że jej kabalistyczny posmak spodoba się obywatelstwu drugiej połowy lat osiemdziesiątych, naznaczonej oczekiwaniem na cud gospodarczy.

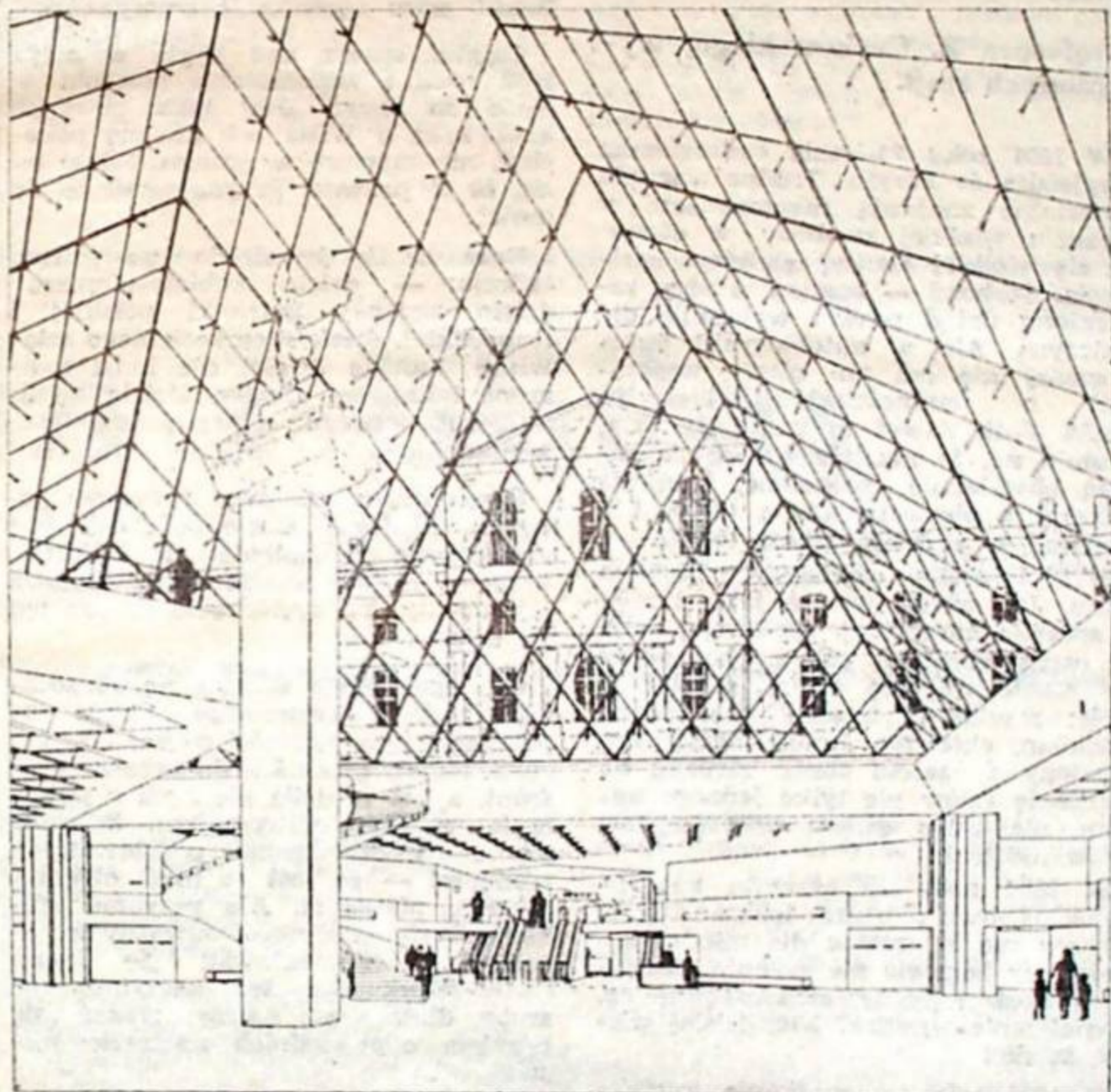
W grudniu 1986 roku mieszkałem w Paryżu wygodnie, w hotelu „Aviatic”, gdzie późnymi wieczorami plawilem się w wannie dłuższej o jakieś pół metra od mojej domowej, lubelskiej, ciesząc równocześnie oko i duszę kolorowymi obrazkami o treściach reklamowych i kryminalnych, które oferowała telewizja francuska. Z tej zaporowanej perspektywy zobaczyłem też po raz pierwszy, w ramach innego programu, jak wygląda Sacharow.

„Aviatic” wspominam z rozrzewnieniem, bo na śniadanie zawsze dosta-

walem chrupiące bułeczki, a w dzień wigilijny dopiąłem swego, czyli nauczyłem recepcjonistę wymowy takiego zdania: „Bez zażenowania życząc panu wszystkiego najlepszego”. Męczył się, zwiłaj usta w trąbkę, ale w końcu gładko wyrecytował: „Benowania ę panu kiego najego”. Popisy sympatycznego blondyna zaciekały nawet ekipę Murzynów, która pojawiła się właśnie w hallu, by opróżnić hotelowe śmietniki. Przy okazji warto może wspomnieć, że towarzysząca robotnikom czarna dama ufyzowana była w liczne warkoczyki z włosów własnych i różności, których splecenie pochłania pięć godzin i 200 franków, czyli według ówczesnego kursu walut — jakieś 32 dolary, wystarczające na spóżyte trzech dobrych obiadów z tzw. kuchni tradycyjnej lub nowej (kruche króliczki w wonnym sosie etc.), albo na umiarkowaną zabawę w jednej z licz-

des Beaux-Arts, w którym mała czarna kosztuje jakieś 4—6 franków.

Paryż to jest takie dziwne miasto, że gdzie pójdziesz, co zobaczysz, zaraz wyrasta z tego cała skomplikowana struktura historyczna, kulturowa, symboliczna. Dlaczego tak się dzieje w miejscu uważanym do drugiej wojny światowej za pępek cywilizacji, wiadomo, ale skutki psychologiczne oddziaływania owej „przestrzeni semiotyecznej” nie są już tak jednoznaczne. Tego bogactwa nie daje się bowiem skonsumować od zaraz, podczas turystycznej wycieczki czy dwutygodniowej delegacji służbowej. Ponieważ jednak zachłanność ludzka nie zna granic, a do kraju rodzinnego wypada też przywieźć jakieś nobilitujące wspomnienia znad Sekwany, postawę zaciekawionego obserwatora walorów Paryża wyplera metoda zaliczania standardów kultu-



Widok na pawilon Richelieu z recepcji pod przezroczystą piramidą, wznoszoną na dziedzińcu Napoleona w obrębie Luwru.

nych restauracji à la russe, choćby w „Etoile de Moscou”, gdzie produkują się „orchestre russe et tzigane”.

„Aviatic” miał jeszcze jedną zaletę: znajdował się niedaleko bulwaru Montparnasse i może kilometr od bulwaru Saint Germain, zatem między trasami, które weszły do cyganeryjnej legendy Paryża. Chcąc zebrać troszeczkę aury tego miejsca, godzinami włożyłem się po bulwarach, by z niejakim zdumieniem stwierdzić wreszcie, że boją mnie nogi. Widać zabrakło mi imaginacji i egzaltacji, pochylających człowiekowi głowę przed każdym budynkiem, w którym, dajmy na to, mieszkał Picasso lub śpiewała Juliette Greco. Raz przecież uległem mitom, które wciskano mojemu pokoleniu w okresie studiów, i dowiedziałem się, że w pewnej kawiarni przy Saint Germain, niedaleko kościoła z nagrobkiem Jana Kazimierza, Simone de Beauvoir pisywała czy porządkowała swoje teksty, wszedłem tam, siadłem przy stoliku wręcz przechylającym się przez szklaną ścianę na ulicę, no i zamówiłem małą kawę. Owszem, smaczne to było, ale kosztowało ponad 16 franków, czyli więcej niż flaszka młodego „beaujolais” z burgundzkich plantacji, zakupiona rzecz jasna w sklepie. Gdybym w porę przypomniał sobie, jak to pani de Beauvoir przedstawiła ostatnie dni własnego męża, opisując Sartre’a włożącego za sobą po podłodze wpięty węł plastikowy balon na mocz, to chyba minąłbym słynną kawiarnię z niesmakiem i udał się do pobliskiego lokalu „Bonaparte”, przyciągającego studentów Ecole Nationale Supérieure

rowych: wieży Eiffla, Luwru, bazyliki Sacre-Coeur, Łuku Triumfalnego, katedry Notre-Dame, Centre Pompidou, Panteonu czy Muzeum Grevin, w którym znajdują się m.in. figury woskowe Reagana i Gorbaczowa przy wspólnym stoliku — przed pierwszym z nich stoi szklaneczka z napitkiem, przed drugim nie. Tylko cudzoziemcy o specjalnych zainteresowaniach odwiedzają takie np. miejsca, jak muzeum Eugene Delacroix, gdzie można spacerować po ogromnej pracowni romantycznego mistrza, zbliżonej wielkością do kazimierskiego atelier Stanisława Jana Lazorka...

„Zaliczanie” nie daje oczywiście żadnego realnego wyobrażenia o Paryżu, przeciwnie — mać w głowach okazyjnych gości, którzy, jeśli pochodzą z Europy wschodniej, mogą zupełnie skłócić na widok licznych Murzynów, przemierzających ulice i stacje metra, pilnujących porządku w muzeach, obsługujących śmieciarki, ale też, sporadycznie, występujących w roli stróżów ładu publicznego. Na własne oczy widziałem przepiękną, smukłą, czarnoskórą panienkę, na której umundurowanej pupie z przyjemnością podskakiwał zgrabny rewolwer. Było to w okolicach ogromnego budynku Grand Palais, niedaleko avenue des Champs Elysees, który, wzniesiony w 1900 roku jako Palais des Beaux Arts, mieści dziś: salę wystawową o powierzchni 10 tys. metrów kwadratowych, muzeum nauki, uniwersytecką filologię polską, coś jeszcze oraz komisariat policji. Można powiedzieć z zakłopotaniem: polonistka i policja w jednym stoją domu.

W tym miejscu również, jak w każdym innym rejonie Paryża, przesypuje się swoisty lańcuszek św. Antoniego, bo chcąc się dostać na prawy brzeg Sekwany, trzeba przejść przez most cara Aleksandra III, którego budowę symbolicznie zainaugurował Mikołaj II, w roku 1896. Najpiękniejszy to z mostów paryskich, wyniesiony do rangi dzieła sztuki licznymi i nostalgicznie spatinowanymi rzeźbami, które sprawiają wrażenie, jakby wylowiono je z błękitnozielonkawej wody. Usposobiony sceptycznie do kapitalizmu i niechętnie do caratu, przechodząc tamtędy pewnego wieczoru, przymknąłem usta pieśni estetycznej i najwzyczajniej policzyłem latarnie mostowe. Było ich ponad sto, ale jedna się nie paliła. I jak tu nie być sceptykiem! Tej mojej melancholii cywilizacyjnej nie rozproszyl nawet mikroprocesor, który zechciał wpuścić Lechitę do publicznego pisuaru dopiero wtedy, kiedy jego zwoje mógowe posmarowałem dwoma frankami. Ja tam wołę nasze kłozetobocle, rozlewające wszak po wiadomych przybytkach tzw. współczynnik humanistyczny Kotońskiego, a czasami to i drzemiacie słodko, z namacalną korzyścią dla klienteli.

Doprawdy, Paryż to stalowa pajęczyna znaczeń. Z hotelu „Aviatic” (dwuplatowiec w herbie, alkohol w barze od rana do wieczora, „heineken” po 13 franków też) wychodziłem wprost na chodnik ulicy de Vaugirard, a kiedy, powiedzmy, trafiłem do Luwru, zatrzymując się w sali malarstwa o tematyce napoleońskiej, to ze zdumieniem stwierdziłem, że na wielkim obrazie z koronacji Bonapartego, pedzła Davida, widnieje oczywiście gen. Vaugirard. Niby nie takiego; w końcu są u nas liczne ulice np. Tadeusza Kościuszki i malowidła przedstawiające Naczelnika. Prawda, ale tam, nad Sekwaną, korespondencja kulturowa i historyczna między obiektami, miejscami czy zjawiskami jest wyjątkowo zagęszczona i dźwięczna, co nieodmienne porusza przybysza z kraju takiego jak Polska: niszczonego wojnami, wielokrotnie okradanego z dóbr kultury, doświadczonego zatem tak jak się Francuzom w najczarniejszych snach nie śniło.

Pewnemu paryskiemu właścicielowi firmy reklamowej, z którym zrzędnieniem losu spotkałem się w barze hotelu „Lenox”, w zamożnej Dzielnicy Lacińskiej, przyśniły się natomiast wyrzuty sumienia. Wypiwszy kilka kieliszków, wyptał mnie o kondycję plakatu nad Wisłą, ten przystojny, posiwiały pan, skołigony z najwyższymi sferami burżuazji francuskiej, wyznał był szepem scenicznym: „My mamy wyrzuty sumienia, że opuściliśmy Polskę w 1939 roku”.

Wzruszyłem się tak mocno, że o mało nie utknął mi w gardle słony fistasek.

We wspomnianej sali Luwru znajdują się też inne dzieła sztuki, z okresu restauracji, panowania Ludwika Filipa i następných dziesięcioleci XIX wieku, a wśród nich „Wolność wiodąca lud na barykady” (1830) Delacroix. Zawsze tu sporo publiczności, która chcąc nie chcąc, musi wybierać między koronowanym Bonapartem a Wolnością na barykadzie, jako że obrazy te wiążą naprzeciwko siebie. Na ogół jednak ludzie oglądają to i tamto malowidło, co naturalne w scenarii muzealnej, do której wejść można po opłaceniu 20 franków, jedynie w niedzielę — darmo.

Tymczasem na ulicach Paryża znów pojawiają się demonstracje młodzieży szkolnej i akademickiej, która tak gwałtownie wystąpiła jesienią 1986 roku...

Podczas ostatniego pobytu nad Sekwaną mieszkałem przy rue Lauriston, w ładnym kilkupiętrowym budynku, kupionym na początku drugiej wojny przez gen. Stanisława Tatara i stanowiącym polską własność. Prostopadłe do tego domu biegnie uliczka, przy której znajduje się kamieniczka pana Bolmondo, znaczy się gwiazdy filmowej męskiej.

Tyle z Nowym Rokiem.

(cda.)

Madame Curie

Zdzisław Cackowski

W Paryżu obchodzone uroczyste 120. rocznicę urodzin Marii Curie-Skłodowskiej. W ramach obchodów odbyły się m. in. trzy sesje naukowe, z których pierwszą organizował Ośrodek Naukowy Polskiej Akademii Nauk w Paryżu (kierowany obecnie przez prof. Wiesława Skrzydłę, byłego rektora UMCS), dwie pozostałe zaś — francuskie instytucje naukowe (Institut Curie oraz Centre National des Recherches Scientifiques).

W obchodach wzięła udział delegacja Polskiej Akademii Nauk, której przewodniczył prezes PAN, profesor Jan Kostrzewski, a uczestniczyli członkowie PAN, profesorowie: Adam Bielański, Kazimierz Dux i Wojciech Zielenkiewicz; członkiem delegacji był także profesor Zdzisław Cackowski — rektor UMCS. Wszyscy członkowie delegacji polskiej wystąpili z referatami na temat wkładu Marii Curie - Skłodowskiej do nauki.

Niżej drukujemy przemówienie profesora Z. Cackowskiego, wygłoszone w czasie pierwszej z wymienionych sesji.

MARIA Skłodowska urodziła się trzy lata po klęsce powstania styczniowego. Klęska ta stanowi istotną cezurę w historii Polski, w postawach ideowych, politycznych, moralnych i intelektualnych Polaków.

Nadzieje polskiego romantyzmu i polskiego patriotyzmu na czyn zbrojny załamały się. Nie załamały się jednak nadzieje i dążenia niepodległościowe. Szukać zaczęto nowych dróg ich realizacji. W tych poszukiwaniach utrzymała się z epoki romantyzmu i powstała wielka żarliwość patriotyczna. Ona dawała inteligencji polskiej motywację społecznego działania. Na miejsce hasła czynu zbrojnego zaczęły przychodzić pozytywistyczne hasła pracy organicznej: hasło pracy u podstaw, hasło przedsiębiorczości i — nade wszystko — hasło wiedzy i oświaty. Te kierunki działania miały być nową drogą odzyskania własnej państwowości. Im właśnie warto było poświęcać osobisty wysiłek, im służby miały pracować i osobiste poświęcenie. Romantyzm więc nie przepadł: pozostał w hasle osobistego wysiłku i poświęcenia. Zmienił się tylko kierunek jednego i drugiego. Ten kierunek właśnie wyznaczać teraz miała praca u podstaw, a przede wszystkim praca nad zdobywaniem wiedzy przez każdą jednostkę dla siebie i dla krzewienia oświaty publicznej.

W takiej atmosferze wychowywała się Maria: w atmosferze wielkiej narodowej misji, w atmosferze podopieczności własnego losu wielkiej sprawie, w atmosferze czynnej ofiary. Nie ulega wątpliwości, że osobiste cechy Marii, które z czasem okazały się tak skuteczne w jej pracy badawczej, były rodem z Polski.

W 17. roku życia Maria po raz pierwszy opuszcza dom rodzinny i rusza w wielką podróż; podróż wielką, bo pierwszą. Jedzie na wieś, by podjąć pracę nauczycielki, pracę pedagogiczną, która jest nie tylko sposobem zarabiania na życie, ale i uczestnictwem w „budowaniu świątyni”, w spełnianiu misji społecznej i narodowej, bo taki sens obiektywny i subiektywny miała wówczas w Polsce ta praca.

Wielkie, wzniosłe cele rodziły nieprzeciętną odwagę, wyrażającą się w śmiałych planach: nauka, nauka w Paryżu. Takie ma plany 18-letnia dziewczyna. Decyduje się na matematykę i fizykę. Decyduje się przelamać bariery na drodze kobiety do nauki. Słyszała wtedy, że w zagranicznych uczelniach takie przedsięwzięcie niekiedy się udawało. Przygotowuje się do realizacji tego programu samodzielnie; zbiera środki, a przede wszystkim uczy się. Istna siłaczka! Dzisiaj wiemy, że nie były to marzycielskie mrzonki. W samodzielnej nauce odnajdowała radość drobnych sukcesów, ale i doświadczenie wielkiej cierpliwości.

W 1891 roku 24-letnia cudzoziemka przyjeżdża do Paryża. Trudne warunki materialne znajdują rekompensatę w poczuciu wielkiej swobody, w otwarciu się wielkiej szansy, wielkiego spełnienia. Sorbona — bastion wiedzy, zastrzeżony dotąd prawie wyłącznie dla mężczyzn. Ale w autobiografii Skłodowskiej nie ma ani cienia wspomnienia o trudnościach kobiety-inżynierki. Jeśli nawet te trudności były, a zdaje się, że musiały istnieć, to zostają chwalebnie pokonane: licencjat z fizyki z pierwszą lokatą (1893) i z matematyki z drugą lokatą (1894).

W 1894 roku — spotkanie z Piotrem Curie. Już wtedy wiedza jako środek w sprawie narodowej, społecznej staje się coraz wyraźniej celem, choć nigdy nie stanie się ona celem samym w sobie; zawsze pozostanie dla Marii środkiem, choć ten środek będzie nastawiony z czasem coraz bardziej na realizację celów nie tylko jednego narodu, nie tylko dwóch narodów, ale celów ludzkich.

W 1896 roku — egzamin nauczycielski. Znowu pierwsza lokata. Czy te sukcesy nie są groźne dla młodej kobiety, czy bogowie nie szykują zasadzki w postaci pychy, samouspokojenia, zmniejszenia wysiłku? Nie, dzisiaj wiemy, że nie!

W 1897 roku — spotkanie intelektualne z wynikami badań Becquerela. Zaczęła się wielka przygoda życia osobistego i życia NAUKI. Nie, nie przygoda, ale wielki trud i wielkie poświęcenie. Pojawia się świadomość roli ścisłego pomiaru. Przychodzi sukces w postaci POLONU — doniosły krok w rozwoju nauki, świadectwo żywego uczucia dla Polski, skąd Maria przywoziła do Paryża wielką motywację do pracy i poświęcenia. Praca w niezwykle trudnych warunkach przynosiła poczucie szczęścia: „w tej nędznej, starej szopie przeżyliśmy najlepsze i najszczęśliwsze nasze lata, poświęcając całe dnie pracy”. To wyznaczenie ma niezwykle znaczenie dla naszej dzisiejszej pracy wychowawczej z młodzieżą, zwłaszcza tą, która ma aspiracje służenia nauce.

Nagroda Nobla (1903). Wielkie dokonanie naukowe stało się publicznym faktem. Dokonanie spełnione w trudzie, samotności i wyrzeczeniu, którym towarzyszyło poczucie szczęścia. Nagroda przyniosła zaszczyty, sławę, pomoc materialną w prowadzeniu badań, a jednocześnie — rzecz paradoksalna — „przerwanie naszej dobrowolnej samotności było dla nas prawdziwym cierpieniem, miało wszelkie cechy klęski, było poważnym zamachem na porządek naszego życia”.

Tragedia osobista — śmierć Piotra. Misja kontynuacji dzieła. Pierwsza kobieta na katedrze profesorskiej w Sorbonie. Samodzielna kontynuacja badań. Ciężkie doświadczenia osobiste. Upór, praca, wysiłek, upór, stanowczość i jeszcze raz upór. Druga, indywidualna i samodzielna tym razem, Nagroda Nobla.

Z pracą dla nauki idzie w parze troska o wychowanie córek. Tej trosce towarzyszą wysokie wymagania. Od

córek wyraźnie oczekuje kontynuacji swego własnego dzieła, przedłużenia swego własnego charakteru — ambicji badawczej i uporu.

Służba medyczna w czasie wojny dopełnia wielkiej autokreacji: Maria Skłodowska-Curie staje się osobistością publiczną. W pełnym wymiarze stanęła przed światem M A D A M E CURIE.

Do Polski ciągle wracała. Uczuciem rodzinnym, wracała sympatią dla swego narodu, jego języka i kultury, troską o znajomość języka polskiego u swoich córek. Wróciła do Polski Instytutem Radowym w Warszawie, wróciła gramem radu, podarowanym jej dla Polski przez społeczność amerykańską.

Ostatni spacer nad Wisłą w maju 1932 roku i wspomnienie piosenki w liście do Ewy: „Jest taka piosenka krakowska o Wiśle: »A kto cię pokochał, nie zapomni w grobie«. Zdaje mi się, że to prawda. Przynajmniej co do mnie”.

Rozeszło się jej dzieło po całym świecie — dzieło kobiety-pionierki, dzieło uczoney, patriotki polskiej i francuskiej, dzieło nieprzeciętnego człowieka, ludzkie dzieło, dla ludzi tworzone i ludziom służące. Dzieło wysiłku, trudu, uporu, ofiary i bezinteresowności.

Szczególnym znakiem trwałego powrotu Madame Curie do Polski jest uniwersytet jej imienia w Lublinie. Przez to miasto wiodła droga życiowa jej rodziny. Tu dyrektorem liceum był jej dziad.

Od tego miasta zaczęło się odradzanie życia państwowego Polski po pierwszej i po ostatniej wojnie. W 1944 roku, ledwie przez Lublin przewalił się front, a już zrodziła się myśl o powołaniu w nim uniwersytetu. Zdawało się — wobec ogromu podstawowych trudności — że jest to myśl obłędna, szalona, nierealna. Ale przykład Madame Curie wspomagał odważnych i upartych. Argumentowali „że Maria Curie-Skłodowska też zaczynała od szopy, dlatego nie należy zrażać się brakiem odpowiednich w razie warunków”.

Zwyciężył „Premier principe” Marii Skłodowskiej, który sformułowała mając 20 lat: „Ne jamais se laisser abstraire ni par les êtres ni par les événements”. Duch Marii bronił więc ideał nowego uniwersytetu, który został ostatecznie powołany 23 października 1944 roku. Dano mu imię Marii Curie-Skłodowskiej. Nazwę uzasadniono między innymi tak oto: „Kiedy dajemy nazwisko Marii Curie-Skłodowskiej na nazwę Uniwersytetu, to rozumiemy, że zespół ludzi tam pracujących dziedziczy również ten pęd do pracy, jaki miała wielka badaczka... Dlaczego chcemy dać nazwę Marii Curie-Skłodowskiej? Nie dlatego, że mamy zamiar jedynie kontynuować nauki przyrodnicze — Maria Curie-Skłodowska była również symbolem humanistycznej wolnej duszy”.

Dzisiaj Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej kształci ponad 11 tysięcy studentów na kilkudziesięciu kierunkach studiów matematyczno-przyrodniczych, społecznych i humanistycznych. Wyodrębniły się i ukształtowały, jako samodzielne uczelnie wyższe, dawne wydziały uniwersytetu: medycyny, weterynarii, rolnictwa.

Pracuje dzisiaj w uniwersytecie około 2 tysięcy pracowników nauki. Uczelnia nasza utrzymuje kontakty naukowe z wieloma uczelniami świata, a między innymi z uczelniami w ZSRR, Stanach Zjednoczonych, Włoszech, Węgrzech, Czechosłowacji, Rumunii, Turcji, Szwecji, Austrii, RFN i NRD. Utrzymujemy kontakty naukowe z liczną rzeszą uczonych zagranicznych, z których wielu uświetnia rejestr doktorów honorowych Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. W rejestrze tym są także imiona Ireny i Fryderyka Joliot-Curie.

NAWET w mocno podeszłym wieku pułkownik Emil Czaplinski chodził rażym, sprężystym krokiem, trzymał się prosto, a na świat — mimo wielu bolesnych przeżyć i krzywd, jakie go spotykały — spoglądał dobitnie i przyjaźnie.

Od wczesnych godzin rannych kręcił się koło swojego domu przy ulicy Weteranów 8; potem siedział na długim spacer, a w lecie — również na pobliskim basenie przy Liceum im. Staszica, gdzie pływał, a także skakał z trampoliny (jakby osiemdziesiątka, którą miał na karku, jego nie dotyczyła).

Wieczorami pisał wspomnienia, które nazywał skromnie, po żołniersku, „Zyciorysem”. Ale o tym, że pułkownik Czaplinski przynosi na papier refleksje z lat skautowej młodości, z pobytu w wojsku i okoliczności, w jakich musiał, już po wojnie, w 1947 r., rozstać się z mundurem, nikt — poza najbliższą rodziną — nie wiedział.

Dużą część wspomnień poświęcił Lublinowi, z którym był związany przez ponad połowę życia; w ciągu ośmiu przedwojennych lat sprawował tu funkcję komendanta Miasta i Garnizonu Lubelskiego, a przez dwa pierwsze lata po wojnie — wojskowego Komendanta Miasta.

Z wojskiem rozstał się wbrew własnej woli. Harcerzem pozostał do końca życia. Posiadał najwyższy stopień harcerski: był Harcerzem Rzeczypospolitej, i może właśnie harcerstwo dało mu tę pogodę ducha, z jaką znosił swój los.

*

„Urodziłem się w Krakowie, dnia 8 września 1892 r. — rozpoczyna swe wspomnienia Emil Czaplinski — z matki Emilii Popiel i Kazimierza, wśród dziewięciorga rodzeństwa. Ojciec mój, były urzędnik, [...] weteran Powstania Styczniowego, wódł mnie, pacholę paroletnie, na Wawel, do grobów królewskich i nieraz wskazywał na niedostępne dla nas, Polaków, pokoje rezydencji królewskiej, skąd rozlegał się gwar niemieckiej mowy żołdaków austriackich; na co ja odezwać się miałem raz tymi słowy: »Tatusiu! trzeba ich stąd wygonić!«. Uczyniłem to w dwadzieścia lat później, pod wodzą generała Rojta”.

Rodzinie nie przelewało się, ojciec miał niewysoką emeryturę, ale starał się dać dzieciom jak najlepsze wykształcenie. Kosztem wielu wyrzeczeń, a także dzięki udzielanemu przez siebie korepetycjom, Emil Czaplinski skończył gimnazjum w Krakowie, a następnie rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ukończył prawo niemal w momencie, gdy wybuchła I wojna światowa. Ale już kilka lat wcześniej

„W roku 1910 dostał mi się w ręce angielski egzemplarz »SCOUTING FOR BOYS« Baden Powella. Wraz z kilku przyjaciółmi, z trudnością, ale i z wielkim entuzjazmem, przestudiowaliśmy ten wspaniały podręcznik, ten katechizm patriotycznego wychowania młodzieży, na jaki Młoda Polska czekała. W ciągu paru miesięcy utworzyliśmy Pierwszy Akademicki Patrol Skautowy w Krakowie. Dowódcą został Władysław Kołomołcki, ja zaś [jego] zastępcą do spraw szkolenia i sprawności. W zastępstwie było nas szesnastu kolegów, umundurowanych (impro wizacyjnie) i z drążkami [kijami skautowymi] — przyp. M. D.] dwumetrowymi. Po pięciu miesiącach intensywnych ćwiczeń, po opanowaniu wszystkich stopni sprawności, zgłosiliśmy się do Towarzystwa Gimnastycznego „Sokol”, gdzie mieściła się komenda organizująca się kilku skautowych drużyn gimnazjalnych. Komendant, prof. Zygmunt Wyrobek, przyjął nas z radością, gdyż napływ młodzieży z wiosną 1911 roku stał się niemal żywiołowy, i potrzebował już wyszkolonej starszyny harcerskiej. [...] Ja otrzymałem przydział jako pomocnik drużynowego IV Krakowskiej Drużyny Skautowej, pod komendą druha Janusza Gąsiorowskiego. [...] On to, w lipcu 1911 r., wprowadził mnie na tajne zebranie kilkudziesięciu akademików ćwiczących się wojskowo [...]. To była tajna „Szkoła Podchorążych”, kuźnia przyszłych oficerów polskich. Był wśród nich: Jerzy Narbutt-Luczyński, Stanisław Długosz, Juliusz Ulrych i wielu znakomitych w przyszłości bojowników i dowódców, literatów i mężów stanu. [...] Do grona starszych należał szczególnie ceniony znawca sztuki wojennej i wiedzy wojskowej, kol. Michał Zymierski”.

Wkrótce Emil Czaplinski zostaje drużynowym IV Krakowskiej Drużyny Skautowej, a także, wraz ze swoimi podkomendnymi, uczestniczy w ćwiczeniach „Strzelec”.

Jul 2 września 1914 r. stawia się wraz ze starszymi harcerzami „krakowskiej czwórki” w pełnym oporządzeniu bojowym na miejscu zbiórki polskich ochotników, potem, śladem Pierwszej Kompanii Kadrowej, wyrusza z nimi w stronę Kielec.

Po odbyciu „kampanii kieleckiej” zostaje włączony do 2 pułku piechoty Legionów. W jego szeregach pozostaje aż do 1929 r. Najpierw uczestniczy w walkach legionowych, później bije się o kształt polskich granic. Jest kilkakrotnie ranny, zostaje odznaczony Krzyżem „Virtuti Militari” V kl., czterokrotnie Krzyżem Walecznych. Rozpoczynając od zwykłego żołnierza, staje, po latach, na czele macierzystego pułku już w stopniu pułkownika.

Cały czas działa w harcerstwie. W latach 1922—1934 jest członkiem Koła Przyjaciół Harcerzy — najpierw w Pińczowie (gdzie stacjonował 2 p.p. Legionów), a następnie — w Lublinie.

1 marca 1932 r. plk. Emil Czapliński odkomenderowano z Warszawy (gdzie przez trzy lata sprawował funkcję zastępcy komendanta Straży Granicznej) do Lublina. Został komendantem Garnizonu i Miasta. Jego „główna kwatery” mieściła się w Komendzie Garnizonu, w budynku dawnego klasztoru przy ulicy Peowiaków (Pstrowskiego), tam, gdzie dzisiaj znajduje się Miejski Dom Kultury.

Pułkownik szybko dał się poznać jako człowiek bardzo życzliwy miastu i jego sprawom, społecznik, no i oczywiście — harcerz.

organizacji przerwał swe studia uniwersyteckie, by przyswoić sobie tajniki wiedzy wojskowej”.

Rola-Zymierski przyjął Czaplińskiego z otwartymi ramionami i skierował go do... Lublina, powierzając mu funkcję Komendanta Miasta. W kilka miesięcy później dodatkowo objął pułkownik Czapliński szefostwo tutejszego Wydziału Wojsk Ochrony Pogranicza.

Zaczął się okres morderczej, kilkunastogodzinnej każdego dnia, pracy.

Zajrzyjmy znowu do „Zyciorysu”. Z jego kartek jawi się pookupacyjny Lublin, widziany okiem oficera obowiązującego zapewnić spokój i porządek w mieście. (Szczęściem cała najbliższa rodzina ocalała z zawieruchy wojennej; pułkownik, jego żona Karolina i trójka dzieci mieszkają, jak dawniej, w willi przy ul. Weteranów 8):

„W mieście — nieuporządkowane jeszcze życie społeczne, ani warunki bezpieczeństwa i spokoju. Rozboje, awantury, strzelaniny, morderstwa, rabunki na stacji kolejowej, złodziejstwo, zaszepki, dużo obcych żołnierzy; oświetlenie ulic — niedostateczne. (...) Widziałem dużo zła; żal mi było miasta, które mogłem nazwać przecież »swoim«. (...) Żal mi było miasta mojego, którym opiekowałem się przez lat osiem, będąc w Lublinie na stanowisku K-mta Garnizonu i Miasta. Nie jedną [dotychczasową — przyp. M. D.], ale trzy wartownie z odpowiedzialną załogą ustanowiłem. Jedną — w lokalu Komendy Miasta, jako wartownię głów-

dziej zainteresowany [naszą działalnością] był prezydent miasta, mgr Stanisław Krzykała, który ustawicznie potrzebował mej pomocy i interwencji wojska wobec niesfornych i przestępczych elementów. Ież to razy odbierałem alarmowe telefony z Magistratu: »Na bazarach krzyki, rabunek, strzelanina, w kinach — tłum wdzierną się bez biletów, kasjer — boi się...! Na dworcu — strzelanina, rabują wagony! Proszę o eskortę transportu węgla ze Śląska, potrzebny cały pluton!« Jesienią 1945 r., na pilne życzenie prezydenta miasta Stanisława Krzykały, odkomenderowałem oddział dwunastu żołnierzy z oficerem, aby eskortowali węgiel od samej kopalni na Śląsku, dla zapewnienia opalu dla oświetlenia miasta. Po dotarciu do Lublina i oddaniu transportu w opiekę urzędnikom Magistratu odeszli moi żołnierze do koszar. A [wtym] leci do mnie alarmowa telefoniczna wiadomość ze stacji kolejowej: »Na pomoce! Wagony stojące już na bocznym torze pod elektrownią rabuje ludność okoliczna!« (...) Takie to były czasy rozwydrzenia powojennego! Oddział [transportujący węgiel ze Śląska — przyp. M. D.] — według raportu jego dowódcy, stacząc musiał podczas swojej podróży formalne walki. Na pewnym [odcinku] szlaku [kolejowego], gdzie pociągi z powodu uszkodzeń toru musiały zwalniać szybkość, rabusie czekali przy torze i rzucali się w bieg na wagony, by zrzucić ładunki. Oddział zużył [wtedy] trzy zapasowe skrzynki amunicji!”

W latach 1945—1947 wchodził w skład harcerskiej Komendy Chorągwi lubelskiej. Mieściła się ona w murowanym parterowym baracku, w podwórzu budynku Szkoły Podstawowej im. Jana Kochanowskiego przy ul. Lipowej (w budynku tamtej szkoły dzisiaj znajduje się przedszkole). I wtedy właśnie można było zobaczyć przez okno starszego, wysokiego mężczyznę w battledressowej, przywiezionej z oflagu, kurtce, siedzącego za biurkiem i załatwiającego harcerskie sprawy (na czas „urzędowania” w Komendzie Chorągwi ZHP, plk Czapliński zmieniał mundur wojskowy na bardziej „cywilne” ubranie).

*

W kwietniu 1947 r., tuż po Wielkanocy, pułkownik Czapliński został nagle wezwany do Wydziału Personalnego MON w Warszawie. A tam oznajmiono mu, że oto właśnie... testuje się z wojskiem na zawsze, bez prawa do emerytury.

Załatwianie formalności szło „piorunem”. I nagle, po wielu latach nie-nagannej służby, Emil Czapliński stał się cywilem zdany na własne siły. Liczył wtedy pięćdziesiąt sześć lat; od 1914 r. nie rozstawał się z mundurem. Notabene podzielił los wielu podobnych mu oficerów. I może powinien był się wówczas nawet cieszyć, że stało się to nie w kilka lat później, gdy wielu niewinnych przedwojennych oficerów zawodowych postawiono przed sądem.

„Z dworca lubelskiego — pisze w ostatniej partii »Zyciorysu« plk Czapliński — powracałem [...] smutny, zawiedziony. Wszak nie takiego oczekiwałem pożegnania z zawodową służbą”

I wtedy nagle, gdy skierował się w stronę domu: „Na ulicy zatrzymał mnie znajomy sprzed wojny harcerz i pyta o przyczynę zasmucenia. Usłyszawszy [zaś] przyczynę mego smutku, z miejsca oświadczył: »Druhu pułkowniku! Będzie to dla mnie zaszczyt zaproponować panu stanowisko intendenta w organizowanym przez mnie Technikum Budowlanym. Pan mi w tym najlepiej pomoże!« I z miejsca podał warunki pracy, które bez namysłu przyjąłem. Znajomością stosunków i ludzi wyrobiłem dla szkoły [dawnego] budynku koszarowe, wraz z pomieszczeniem internatu, kuchni, i od września nauka normalnym ruszyła tempem. Przez siedem lat było mi tam dobrze i czułem się wybornie. Aż do zmiany dyrektora [...] Nie dałem [nowemu dyrektorowi] siebie poniżać, ubliżać mi; odszedłem...”

Pracował później Emil Czapliński w różnych instytucjach; w latach pięćdziesiątych m. in. także jako recepcjonista w Domu Wycieczkowym PTTK.

Przez szereg lat domagał się przyznania mu odpowiedniej emerytury. A także oficjalnego podania przyczyny usunięcia z wojska... Jeszcze w 1967 r. pisał do marszałka Spychalskiego: „W sprawie podniesienia niedostatecznego zaopatrzenia emerytalnego, żenująco niskiego tak dla stopnia pułkownika [...] To wszystko napawa mnie smutkiem i gorącą człowieka niepotrzebnego i ukaranego jakąś dyskryminacją za nie popełnione winy”.

W 1968 r. przyznano mu, decyzją Prezesa Rady Ministrów, rentę specjalną — 2600 zł, później zwiększono ją do 3 tysięcy. Jednakże dopiero przyznanie w latach siedemdziesiątych 25-procentowego dodatku do emerytury, a także szykujące się nowe przepisy emerytalne, mogły mu dać bardziej wymierne zadośćuczynienie.

Lecz tego już pułkownik Emil Czapliński nie doczekał. Zmarł 21 października 1976 r. W kilka miesięcy później, w styczniu 1977 r., umarła także jego żona, Karolina. Jedną z pierwszych członkiń podziemnej organizacji KOP w Lublinie w 1939 r. Oboje spoczywają na cmentarzu przy ul. Lipowej.

Umarł plk Emil Czapliński jako czynny harcerz. Od 1957 r., od reaktywowania ZHP, był członkiem Koła Przyjaciół Harcerstwa przy miejscowej Szkole Rzemiosł Budowlanych nr 1.

Pułkownikowi Czaplińskiemu należy się wdzięczna pamięć. Od miasta, od wojska i od harcerzy. Czy wśród wielu nowo powstałych w Lublinie ulic znajdzie się kiedyś także ulica jego imienia? Czy któraś z lubelskich drużyn harcerskich przyjmie jego imię?

Karabin i lilijka

Mirosław Derecki

To on miał swój niemały wkład w budowę Domu Żołnierza przy ul. Zwirki i Wigury, jemu też obecny Dom Oficera zawiązuje fakt posiadania wielkiej, wygodnej sali widowiskowo-kinowej.

Można było spotkać bardzo często w owych przedwojennych lubelskich latach pułkownika Czaplińskiego na różnych zawodach sportowych, jako że chętnie wchodził on w skład komitetów organizacyjnych. Zimą widywano go na nartach na górkach przylegających do osiedla oficerskiego budującego się przy ulicy Weteranów. Latem — z plecakiem, na dłuższych wypadach turystycznych. Jeszcze w czasach wczesno-harcerskich Emil Czapliński przeszedł całe Karpaty i Tatry. Potem, gdy w czasie pierwszej wojny światowej uciekł z austriackiego obozu dla internowanych legionistów, ukrywał się właśnie w Tatrach, gdzie na halach organizował kompanie złożone z górali. A następnie wypędzał Austriaków z Podhala. I wreszcie — jak przewidział w dzieciństwie — także z samego Krakowa.

Przez pięć lat, od 1934 do września 1939 r., był pułkownik Czapliński (zarazem Harcerz Orli) członkiem Zarządu Oddziału ZHP Lublin, kierownikiem wydziału Koła Przyjaciół Harcerzy, opiekunem 8 Lubelskiej Drużyny Harcerzy, będącej nb. drużyną pozaszkolną. W 1935 r. został kierownikiem Grona Starszoharcerskiego przy „lubelskiej ósemce”. Nie zaprzestał harcerskiej działalności także w jenieckim oflagu w Grossborna na Pomorzu. Przez cztery lata był kierownikiem obozowego Koła Harcerskiego. Wtedy to właśnie zdobył najwyższy harcerski stopień tylko przez nielicznych w Polsce posiadany — Harcerza Rzeczypospolitej.

*

Po oswobodzeniu oflagu przez kościuszkowców, toczących walki o Wal Pomorski, pułkownik Czapliński dojechał do Plastowa pod Warszawą, gdzie mieściła się główna kwatery marszałka Michała Roli-Zymierskiego, i meldując się u swego dawnego dowódcy jeszcze z przedlegionowych czasów, gdy ten... „zjawiał się wśród nas [w tajnej] »Szkoła Podchorążych« — przyp. M. D. w mundurze austriackiego jednoręcznego (ochotnika) — z rozkazu bowiem or-

na, druga — na dworcu kolejowym; i trzecia — na placu targowym pod Zamkiem. Patrole stałe krążyły po mieście, szczególnie w nocy. Na każde zasłyszane strzały i krzyki wybiegały patrole [z wartowni]. [...] Może najbar-

Cały osobny rozdział „Zyciorysu” to organizowanie placówki WOP w Chelmie i jej walki z bandami UP.

A przy tym wszystkim znajdował jeszcze plk Emil Czapliński czas na działalność wśród lubelskich harcerzy.



Emil Czapliński w 1938 roku

Szajna tu i tam

ZOKAZJI 65 rocznicy urodzin i 40-lecia pracy twórczej Józefa Szajny urządzono retrospektywną wystawę dorobku artysty, która prezentowana była kolejno w Krakowie (grudzień 1986), Moskwie (maj 1987), Paryżu (październik 1987), na koniec w warszawskiej „Zachęcie” (od 7 grudnia 1987). Przedstawiała ona Szajnę jako człowieka teatru i plastyka, autora takich głośnych rzeczy scenicznych, jak „Witkiacy”, „Gulgutiera”, „Replika”, „Dante”, „Cervantes” i „Majakowski”, który równolegle uprawiał malarstwo, grafikę, collages, wykonywał assemblages i realizował environments.

Ekspozycję moskiewską, rozlokowaną na 1000 metrów kw. Centralnego Domu Artysty, obejrzało w ciągu miesiąca 43 tys. osób. Tatjana Bielajewa zauważyła na łamach miesięcznika „Tworczestwo”:

„Dopiero teraz, po upływie wielu lat, w ciągu których artysta w pełni wyrażał siebie, staje się jasnym, że choć najznakomitsze jego prace i poszczególne okresy stanowią zamkniętą całość — w sumie tworzą one następujące po sobie akty dramatu, którego istotną treścią było i będzie życie człowieka we wszystkich jego przejawach”.

Pokaz paryski, z konieczności skromniejszy, odbył się w budynku Instytutu Polskiego przy rue Jean Goujon, gdzie zresztą często wystawiana jest nasza sztuka współczesna. Tu także Szajna przyciągnęła liczną publiczność, choć samo miejsce nie ma renomy takich galerii jak „Daniel Temple” czy „Yvon Lambert”. Do książki namlatkowej wystawy wpisywano się głównie po francusku, ale były też adnotacje polskie:

„Przypomniły mi się dawne lata dobrej sztuki w Polsce (przed 1903 rokiem)”.

„Ciesze się, że Paryż może poznać tę wsławną twórczość — a przez nią duszę Polski”.

„Kiedy obejrzymy Pańska scenografię na deskach teatralnych Paryża? Na razie gratulacje i wyrazy wiernego uznania i szacunku”.

„Z wielkim uznaniem dla plastyka, reżysera i człowieka”.

Wernisaż w „Zachęcie” zgromadził kilkadziesiąt osób, wśród których wyróżniała się delegacja województwa rzeszowskiego z wicewojewodą Józefem Królem i wybitnym animatorem tamtejszego środowiska plastycznego w najlepszych latach tej formacji, Jerzym Majewskim. Wyopada tu przypomnieć, że Szajna urodził się w Rzeszowie.

Kilka dni później wystawę obejrzał, w towarzystwie artysty, Wojciech Jaruzelski, którego córka, studentka polonistyki utrwaliła rzecz całą na taśmie video.

Szajna ciągle zaciekawia ludzi zwykłych i wyrafinowanych, ale aż korci, by zanęcić: czy jako klasyk którego wystawę wypada „zaliczyć” czy jako autor dzieł ciągle żywych, pobudzających emocje i myśli odbiorcy?

Odpowiedź na to pytanie odnaleźć można w przekroju pokoleniowym widowni ostatnich pokazów Szajny w Lublinie. Otóż na spotkaniach z artystą, inauguracyjnych jego wystawy, zawsze i zdecydowanie przeważa młodzież studencka i licealna, która w liczbie 300—400 osób słucha uważnie wypowiedzi autora „Repliki”, a potem długo nęka go pytaniami dotyczącymi sztuki i życia, teatru i moralności, polityki i plastyki. Myślę, że takie i podobne im dyskusje publiczne stanowią dla Szajny swoiste uwierzytelnienie jego generalnej idei, która tak określa: „Artysta jest współodpowiedzialny za sytuację w świecie. Zatem ważne jest nie tylko to, jak i co tworzy, ale i na co tworzy. Sztuka to nie bukiet do kożucha”.

Wymownym przyczynkiem do tej kwestii może być także współczesna recepcja „Repliki”, której pierwsza wersja, wywodząca się z environment „Reminiscence”, powstała w 1971 roku i wystawiana była odtak prawie 150 razy: w Polsce, Francji, RFN, USA, Wielkiej Brytanii, Meksyku, na Węgrzech, w Holandii, Szwecji, Portugalii,

Austrii, Rumunii, Hiszpanii, Norwegii, Finlandii, Włoch, Turcji... Przekształcając ostatnio w formole „Repliki V” z 1986 roku zachowała przecież swoją zasadniczą strukturę sceniczną i jest „wielką syntezą dramatu ludzkości, łącznie z jej winą, słabością i okrucieństwem, łącznie jak to niegdyś skomentował sam autor „Wszystko się przecież na tym świecie starzeje a los ten nie omija oczywiście metod poetyki i stylizacji sztuki, które rewelacyjne i rewolucyjne w momencie narodzin, z biegiem czasu zastępują w momencie cichych Tymczasem, jak się okazuje, „Replika” ciągle nie traci na sile oddziaływania, szokuje i przejmuje ludzi w różnych krajach. Na spotkaniu dyskusyjnym podczas wystawy Szajny w „Zachęcie” zwrócił na to uwagę Andrzej Żurawski, obserwator niedawnego, wysoko cenionego w Ameryce festiwalu teatralnego w Kanadzie, gdzie „Replika” wzbudziła wielkie emocje, przyjęta została jako dzieło autentyczne i współczesne, przekazywane autorakcie przesłanie przy pomocy struktury ciągle żywej i sugestywnej.

Zauważyłem na wstępie, że wystawa unaoeczniła twórczość teatralną i plastyczną Szajny. Po prawdzie zetknęliśmy się jednak z jednym dziełem przybierającym tylko odmienne postaci: sceniczne, obrazowe, graficzne. Niektóre formy, rozwiązania, znaki i przedmioty przemierzają się zresztą w obszarze całej twórczości Szajny, któremu — wbrew pozorom — wcale nie chodzi o „wymyślanie” nowej sztuki. Owszem, ten artysta jest nowatorem, jego koncepcja i realizacja teatru narracji plastycznej już teraz stanowią oryginalny rozdział w światowym almanachu reformatorów i kreatorów tej twórczości, ale źródło wszelkich poczynań artystycznych Szajny tkwi gdzieś indziej: w rzeczywistości ludzkiej, nieustannie i na różne sposoby zagrożonej w swą egzystencję.

Sztuka Szajny to ostrzeżenie przed zniewoleniem i totalną zagładą człowieka.

Coś widać jest na rzeczy, skoro spektakle i wystawy artysty przyjmowane są z takim przejęciem w różnych, odległych od siebie krajach.

IJK

Bez klaki

Na spektaklu dzieci się nudzą...

O PATRZNOŚCI boskiej dzieło — komedia polska, przez Teofilę i Karolinę Radziwiłłówny skomponowana i reprezentowana roku 1746 w Nieświeżu — w grudniu 1987 roku w Lublinie w Teatrze Lalki i Aktora im. H. Ch. Andersena nieopatrnie została wskrzeszona przez dyrektora i kierownika artystycznego Tomasza Jaworskiego.

Rzecz Radziwiłłównien oparta jest o prosty schemat fabularny wielu baśni i posługuje się kilku motywami wędrownymi, jak rozmowa królowej ze zwierciadłem, oczywiście w sprawie urody, próba zglądzenia piękniejszej od siebie córki, towarzyszące temu komplikacje i zwycięski dla prześladowanej finał. I trudno spodziewać się przezwyższania reguł baśniowej akcji, ale elementy intrygi są tu bardzo skromne w pomysłach, pozbawione inwencji dramatycznej, takiej chociażby jak w „Królowie Śnieżce”. Dwukrotnie podstęp sprowadza się do przyniesienia bohaterce przez tę samą babę, nie kryjącą się pod przebraniem, uśmiercających buciaków. (Patrzcie, dzieci, na żalony przykład nauki, która poszła w las). Brak tej sztuczki atrakcyjnego podstępu, misterium kuszenia ofiary. Osoby dramatu są „papierowe”, pozbawione sily przekonywania co do rządzących ich postępowaniem motywów, nie ma w nich śladu walki wewnętrznej uzasadnionej rozwojem akcji.

Wewnętrzny ubóstwo bohaterów przeciwstawia się ich zewnętrzne bogactwo. Scenograf (Ireneusz Salwa), dał widzom powód do autentycznego zachwyty wymakowanymi kolorystycznie lalkami i przepychem dekoracji, na którą składają się złoczone ornamenty, atrakcyjnie zestawione z bielą, czernią i purpurą (ta oraz lustra, w oryginalny sposób aranżujące przestrzeń sceniczną. Dzięki nim uzyskuje się nie tylko różne plany, ale również, operując światłem, nastrój pewnej magii.

Podporządkowany zasadom estetyki wizualnej, ruch w znakomitej scenografii dawał niezwyklej wprost urody efekty. To chyba największe przeżycie i

satisfakcja, jaka spotyka widza podczas tego przedstawienia.

Wrażeń zmysłowych dyskretnie dopełnia muzyka Leszka Żuchowskiego, utrzymana w klimacie epoki, neutralna, nie skupiająca na sobie uwagi, dobra w charakterze elementu towarzyszącego.

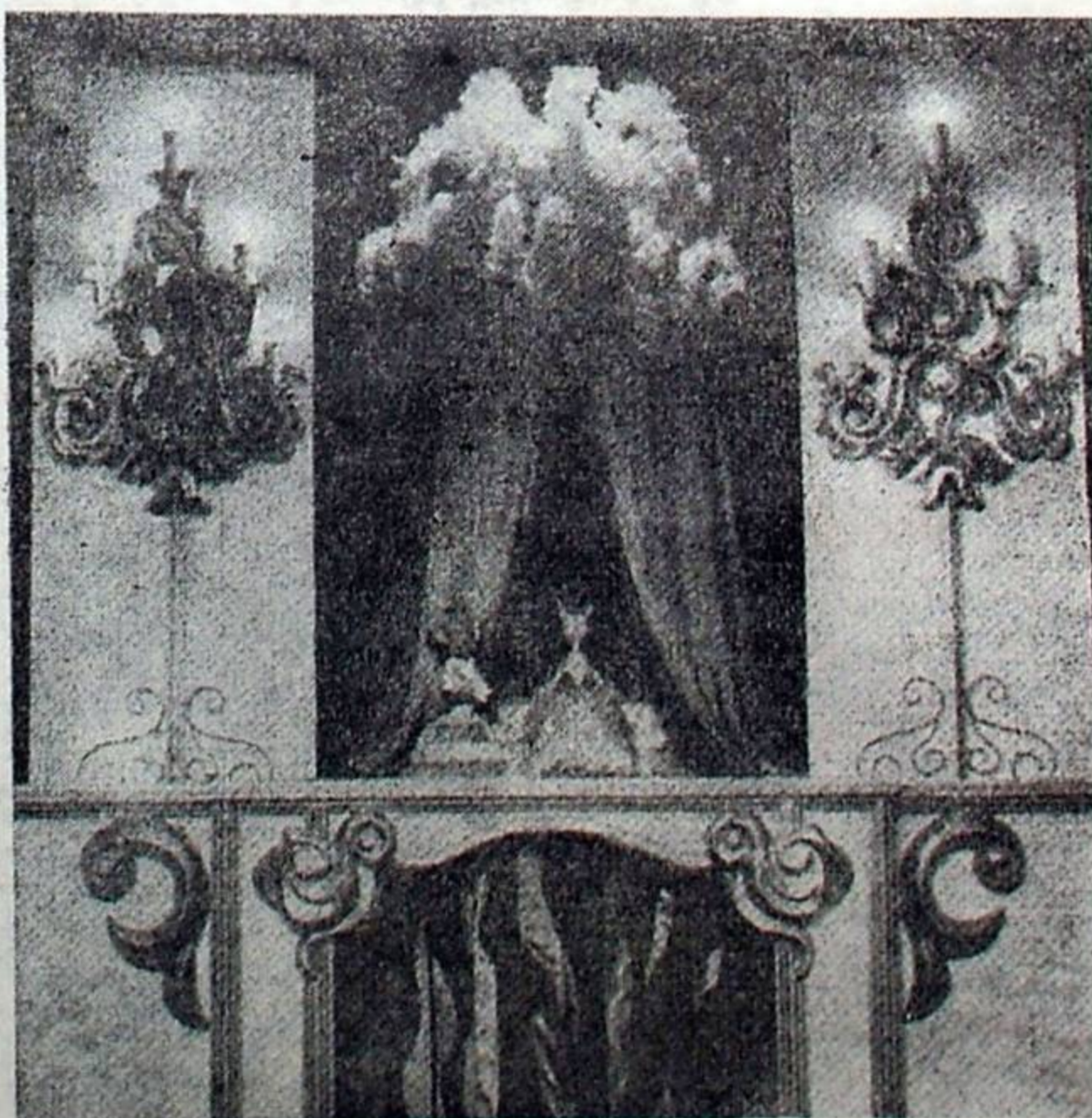
Wśród tej „ładności” gnie jednak dramaturgia wydarzeń. Akcja posuwa się naprzód, pozostawiając obojętnym małego widza. Przyczynia się do tego

chyba wprowadzenie narratora w osobie diabła (Witold Mazurkiewicz), który wprowadzając urzeka kostiumem i popisami sprawności fizycznej — jako jedyny aktor występuje w żywym planie — ale spowalnia przebieg wydarzeń. Technika opowiadania tego, co następnie odegrają kukielki, jest dobra chyba tylko wtedy, kiedy prezentuje się bardzo skomplikowaną akcją, co tutaj nie miało miejsca, i odnosiło się wyrażenia, że narrator wypełnia swoimi kwe-

staniom materiał za mały nawet na jednoaktówkę. Bez wątpienia ten zabieg wzbogaca kompozycję spektaklu, zaprzecza jednak przyzwyczajeniu widzów wychowanych w kulturze telewizyjnej, nawykłych do zmienności obrazów, ogromnego tempa, nieustannego działania się, pierwszeństwa wrażeń wzrokowych nad słuchowych. Rezygnacja ze świadomości tych faktów jest usprawiedliwiona i daje pożądane efekty. Jeżeli akcją zastąpi się problemem. Czy maluchom w teatrze lalkowym można proponować jakiegoś problem? Precedensy już były, i to w Lublinie.

Przed wybraniem sztuki do repertuaru warto pokusić się o elementarną powtórkę z teorii komunikacji, która mówi, że aby spełnić się akt porozumienia, między nadawcą a odbiorcą musi przepłynąć komunikat we wspólnym, czyli zrozumiałym dla obydwu stron, kodzie. Dialog w „Opatrzności boskiej dzieło”, tożsone osiemnastowieczną, tylko trochę odarchaizowaną polszczyzną, nie spełniły tych wymogów. Prowadzone na dodatek z dworską wkladnością, dającą efekt monotonii, nie mogły utrzymać na sobie uwagi dzieciaków. Okazały się dla nich za małe emocjonujące i niezrozumiałe. Zwracali się więc dzieci ciągle do opiekunów z prośbą o wyjaśnienie, a ci je uciszali — „potem ci to wytłumaczę” — starając się wsłuchiwać w dalsze partie tekstu.

Odpowiedź na pytanie, dla kogo ma być coś grane, bardzo ułatwiłaby dobór tekstu i środków inscenizacyjnych. Uwzględnienie praw psychologii odbioru w teatrze dla najmłodszych może być wskazówką dla realizatorów przedsięwzięcia. Reżyser, łączący się z właściwościami psychiki odbiorcy, da dzieciom przedstawienie, którego integralną częścią będą ich reakcje — przeobrażenia opresjami bohatera, współczucie mu, głośne informowanie go o zamiarach przeciwnika, radość z pokonania czasnego charakteru, spontaniczne oklaski śmiech i łzy. Spektakl powinien wyznaczać uczucia, być ich szkołą, skłaniać do identyfikacji i współprzeżywania i postaciami scenicznymi, bo tylko to jest sprawdzianem sukcesu artystycznego. Malcy jeszcze nie znają kurtuazji i wcale nie wydają się przejęci, że obywatel znowu w mieście premiera bardzo estetycznego, dobrze zagranego i przepięknie wystawionego przedstawienia, więc popieszenie wychodzą do szatni.



Fot. Zbigniew Jaśkiewicz

Magdalena Jankowska

Bee Gees



BRACIA Barry, Robin i Maurice Gibb, nieobecni na rynku muzycznym od 1981 roku, zapowiadają powrót w wielkim stylu. Dawno zdążyli przeboleć porażkę albumu „Living Eyes” i przygotowali nowy, jakże odmienny brzmieniowo, krążek. Zanim piosenki z niego zawładną listami przebojów, spróbujmy przypomnieć sobie dotychczasową karierę braci Gibb. Obfitowała ona w wiele sensacyjnych zdarzeń.

Nazwa rodzinnego zespołu znana jest doskonale sympatykom muzyki rytmicznej. Pamiętamy go doskonale z połowy lat sześćdziesiątych, kiedy to (dzięki odkrywcy Beatlesów, Brianowi Epsteinowi) wyłansował wielki szlagier po obu stronach Atlantyku — „Massachusetts”. Zespół stworzyli w 1962 roku trzej bracia Gibb, związani z muzyką od dziecka. Zresztą po raz pierwszy koncertowali razem w wieku 10 lat.

W 1958 roku rodzina Gibbów wyemigrowała do Australii i tam, w Melbourne, związała się kwintet, któremu nazwę dali inicjały najstarszego z braci — Barry'ego. Obok rodzeństwa Gibbów tworzyli go: gitarzysta Colin Peterson i gitarzysta Vince Melouney. Często występy w telewizji, związek z obrotową firmą Festival Records i melodyjne, śpiewane falsetem piosenki typu „Claustrophobia” zapewniły mu sławę najpopularniejszego bandu Australii. Lagodność brzmienia i programowa prostota zjednały płytom Bee Gees rzeszę sympatyków, a przeboj „Spicks and Specks” stał się wręcz symbolem dla australijskich nastolatków.

Mimo ogromnego powodzenia na antypodach, muzycy zdecydowali się na wyjazd do Wielkiej Brytanii, by tam podpisać obiecujący kontrakt z Robertem Stigwoodem, managerem, producentem i po trochu filmowcem, a przede wszystkim rzutkim człowiekiem biznesu, który wiedział, jak pokierować karierą swych pupili. To właśnie on był inspiratorem wszystkich sukcesów grupy, a po chmurnych latach przeszłości tym, który ponownie wprowadził Bee Gees do państwa sław, nadal firmie nowy „image”.

Pierwszym brytyjskim przebojem, zmniejszonym do kwartetu, bandu była kompozycja „New York Mining Disaster 1941” (Nieszczęśliwy wybuch w Nowym Jorku), zapowiadająca admiraację Gibbów dla melodyków w ogóle, a Beatlesów w szczególności. Tej przegromnej fascynacji beatlesowskim brzmieniem nie wycyżli się zresztą przez lata całe. Sterowani umiejętnie przez męża opatrnościowego, Stigwooda, w tej sferze pop widzieli szansę dla siebie. Na sukcesy nie trzeba było czekać zbyt długo. Już pierwszy album „Bee Gees First” uznany został za jeden z najbardziej obiecujących debiutów 1967 roku, a piosenki z niego — obowiązującymi w Anglii szlagierami. „Massachusetts”, „Holiday”, „First Of May”, „I Can't See Nobody”, „World”, „I Gotta A Message To You” zachwycały także polskich melomanów beatowego nurtu.

Po koncertach w USA, przyjętych zresztą bardzo życzliwie przez wybredną publiczność, zdawało się już, że kariera estradowa ściele się Gibbom u stóp. A jednak tak się wtedy nie stało. Nazbyt szybko sukcesy wpłynęły deprymująco na muzyków. Nieustannie kłótnie i spory między Robinem a Mauricem, tudzież przerosła ambicji nad możliwościami wykonawczymi doprowadziły do rozłamu w rodzinnej harmonii. Trudny we współpracy Robin zdecydował się opuścić braci i poświęcić się karierze solisty. W 1969 roku Bee Gees przestało oficjalnie istnieć.

Optymizm wierzącego w siłę przebiecia Robina był jednak przedwczesny. Mimo wydania solowego longplaya „Robin's Reign” w 1970 roku, nie zrobił światowej kariery, pozostając daleko w cieniu grup heavy rockowych typu Led Zepelin, Deep Purple, Cactus, czy Black Sabbath. One proponowały nową, zaczepną w treści muzykę, pełną efektownych zagrań, a Gibb pozostawał słodko brzmiącym tradycjonalistą, nie wzbudzającym emocji fanów.

Drugi z bliźniaków, Maurice, widział swą przyszłość jako gwiazda kina, ale zarówno te marzenia, jak i głosne, a nieszczęśliwe małżeń-

stwo z piosenkarką Lulu, nie ziściły pokładanych nadziei. W tym czasie najstarszy z braci, Barry, zajęty było komponowaniem i wydawaniem nut, Oczywiście kariery na tym nie zrobił.

Wobec przytłaczającego fiaska samodzielnych wysiłków postanowiono raz jeszcze połączyć (za namową Stigwooda) rodzinne siły. Po wielu dyskusjach i ustaleniach, przeniesieni na dobre do USA, Gibbowie nagrali dwa ciekawie brzmiające single „Heart” (Serce) i „Lonely Days” (Samotne dni), które jakkolwiek osiągnęły wysokie notowania na listach przebojów, to sławy sprzed lat grupie nie wróciły. Nie pomogły też wydane co roku albumy „Trafalgar” (1971), „To Whom It My Concern” (1972), „Life In A Thin Can” (1973) i „Mr. Natural” (1974), popierane intensywnymi treningami koncertowymi na terenie Ameryki. Grupa funkcjonowała jako jedna z wielu przeciętnych i nikt specjalnie się nią nie interesował.

Sprytny manager nie zasypiał jednak gruszek w popiele. Wyczuł doskonale nadejście modę disco i pchnął firmę Bee Gees w objęcia tańczego szaleństwa. Przyniosło ono braciom bajeczną fortunę. Z inicjatywy Stigwooda doszło do owocnego spotkania z bardzo zdolnym producentem Arifem Mardinem i nagraniem płyty „Main Course” (Główny kierunek), która — czym magiczne zaklęcie otworzyła upragniony szan.

Na fali muzyki disco Bee Gees odzyskało nadzwyczajną sławę, ba, nawet ją zwielokrotniło. Jeden tylko singel „Jive Talking” osiągnął ponad milionowy nakład. Odtąd płyty ze znakiem B. G. szły jak ciepłe bułki, czyniąc Gibbów krezusami rocka. Utwierdzony w swym przekonaniu Stigwood miał planet braci na każdy, najbardziej szalony pomysł. Zaufał nurtowi disco i zrobił na nim majątek. Pod jego reżyserię dyktando zrealizowano w USA legendarny film „Saturday Night Fever” (Gorączka sobotniej nocy). Film wyłansował nowe bożyszcze młodzieży Johna Travolta, a przy okazji kilkanaście złotych hitów Bee Geesów. Piosenki „Stayin' Alive”, „Night Fever”, „How Deep Is Your Love”, śpiewane przesłodzonym falsetem, a poparte znakomitą pracą orkiestry, ucieli cały świat.

Ciesząc się tak wielką sławą Gibbowie mogli bez przeszkód realizować najbardziej ekscentryczne pomysły. Zawsze mieli stabość do beatlesowskich melodii, toteż w dwanaście lat po ukazaniu się albumu „Orkiestra klubu samotnych serc sierżanta Pleprza”, zdecydowali się sięgnąć do kompozytorskiej teli Lenona i Me Cartneya. Dzięki niej nagrali udany, choć nieco cudażny film, inscenizujący dawne przeboje Liverpoolskiej czwórki. Do filmu zaangażowano reżysera nagrań Beatlesów, George'a Martina, zbudowano wymyślone miasteczko Heartland, a także ścigano sławy tej klasy co Peter Frampton, Alice Cooper, Billy Preston, Aerosmith, Stragard, Tower of Power i Earth, Wind and Fire. Praca nad przygotowaniem 27 piosenek Beatlesów trwała ponad dwa lata i zakończyła się kompletną plagą filmu w Ameryce. Poniesione straty pokryła z nadwyżką płyta, stanowiąca całkiem dźwiękową film. Wkrótce potem firma Bee Gees wydała płytowe albumy: „Here At Last... Live” i „Spirit Having Flown”.

Marzenia o kolejnych podbojach rynku pokrzyżowała dopiero wpadka z płytą „Living Eyes”, dodajmy: wpadka artystyczna i handlowa. Disco powoli gasło i trzeba było szybko zmienić front. Wyczuł to nieźle Gibbowie i postanowili na jakiś czas odpocząć. W trakcie paury pomógł Barbrze Streisand zrealizować najlepszą w jej dorobku płytę „Guilty” z superszlagierem „Woman In Love”. Później każdy działał na własną rękę, aż do ubiegłego roku, kiedy postanowili obudzić się z artystycznego letargu.

Zamiar powrotu do czynnego muzykowania sprawdzili się zupełnie nieźle. Nagrane po sześciu latach przerwy album „E.S.T.” pokazuje braci w doskonałej formie. Gibbowie nie są już młodzianami, Barry ma 40 lat, a Maurice i Robin po 38. Nadal jednak czują rytmiczną muzykę.

„Błotko Lubelskie”

JESLI zgodzimy się, że pewne przywary naszego środowiska mają starą metrykę, to tylko możemy pogratulować trafności tytułu wydawcy pierwszego w Lublinie pisma humorystyczno-satyrycznego sprzed 20 lat. Owym wydawcą, a zarazem redaktorem, był Mieczysław Komarnicki, człowiek związany z ówczesnym ugrupowaniem Postępowych Demokratów. Swoją edytorską inicjatywę Komarnicki zmaterializował 26 maja 1907 r. Wtedy bowiem na ulicach naszego miasta, o czym informował „Kurier” Mieczysława Biernackiego, pojawiło się owo tytułowe „Błotko”. Do naszych czasów, niestety, nie zachowało się w żadnej bibliotece, zatem pełna jego charakterystyka jest wręcz niemożliwa.

Częściowo tylko, na podstawie kilku krótkich wzmianek oraz jednego dłuższego, napastliwego w swej tonacji artykułu ówczesnej prasy lubelskiej, uzyskać można co nieco wiadomości. Ponieważ w 1907 r. trwał stan wojenny, wprowadzony po stłumieniu rewolucji 1905 r., a więc okres wzmoczonej represji prasowych, odpada ewentualne przypuszczenie, by w „Błotku Lubelskim” znalazła się satyra o charakterze politycznym. Jedyne, co mogła tolerować cenzura wówczas, to teksty satyry obyczajowej.

O tym, że pismo owo było jednodniówką, dowiadujemy się ze wspomnianego „Kuriera” z 12 czerwca 1907 r. Komarnicki pisał wówczas: „Podaję do wiadomości, że jednodniówka „Błotko Lubelskie”, wydana przeze mnie, a której nakład został wyczerpany, ukazała się powtórnie w drugiej edycji i została przez konkurencję puszczona na sprzedaż uliczną po cenie zniżonej. Powyższe wydanie proszę uważać za fałszykat”.

Widocznie nakład piśmka rozszedł się błyskawicznie (nie udało mi się ustalić jego wysokości, zapewne był niski), skoro grupa, którą Komarnicki nazwał konkurencją, a stanowili ją, przypuszczalnie należą, pracownicy drukarni, zdecydowała się z zachowanych matryc (kwestia 2 tygodni), bez wiedzy wydawcy, ponownie odbić to pismo i puścić w celu zarobkowym na rynek. Przypuszczenie, że ten sam tekst złożony w innej drukarni na podstawie oryginału, wydaje się mało prawdopodobne. Nie był to więc sensu stricte fałszykat; tyle tylko, że druk ukazał się bez zgody i wiedzy wydawcy. Można zrozumieć oburzenie Komarnickiego, naruszono tu bowiem przepisy regulujące uprawnienia wydawcy.

Ukazanie się „Błotka Lubelskiego” nie wywołało żywej reakcji ze strony „Ziemi Lubelskiej”. Ograniczyła się ona do podania lakonicznej informacji o jego pojawieniu się. Czytelnik nie znalazł choćby najmniejszej próby oceny, a przecież stała rubryka „Ziemi” pn. „Kronika miejska” nie stroniła na ogół od ocen wszystkich inicjatyw kulturalnych Lublina, szczególnie zaś edytorskich. Wydaje się, że przysłowiowy pogrzebany pies leżał w odmiennych zaprzeczaniach politycznych szacownej „Ziemi” i wydawcy Komarnickiego. Skąd także przypuszczenie? Otóż „Błotko Lubelskie” wydrukowane zostało — a dowiadujemy się o tym z napastliwego tekstu w innym dzienniku pn. „Polak-Katolik” — w „Drukarni Estetycznej”, skupiającej wówczas wydawców z ugrupowania postępowych demokratów; m.in. tam właśnie drukował swój „Kurier” Mieczysław Biernacki. Zresztą nie tylko napastliwy „Polak-Katolik” piórem swego wydawcy i redaktora księdza Ignacego Kłopotowskiego mógł niewybrednie ową drukarnię. Także i prawnicowa wówczas „Ziemia Lubelska” miała jej wiele do zarzucenia.

Dzisiaj, po 80 latach, możemy być owemu księdzu nawet wdzięczni za jego pełną energią pasję polemyczną i niezmordowaną walkę ze wszystkim, co postępuje. Właśnie dzięki jego poglądom, wyrażanym na łamach owego dziennika, uzyskujemy kilka ważnych informacji o „Błotku”. W nrze 122 „Polaka-Katolika” z 1907 r. czytamy: „Dyskretnie każe mi się ograniczyć na podaniu ostatniej tylko pracy Drukarni Estetycznej, mianowicie piśmka satyryczno-humorystycznego pod tytułem „Błotko Lubelskie”, po którego przeczytaniu powiedziałem sobie: wolalby miast drukarnię mieć pralnie i bieliznę prać brudną, niż zanurzać w tym „Błotku Lubelskim” ludzką opinję i sławę. W zanurzeniu owym, naturalna rzecz, nie pominięto i mojej osoby i mego „Polaka-Katolika”. [...] Wiem dobrze i bez „Błotka Lubelskiego”, że daleko wygodniej by mi było siedzieć za piecem jako człowiek spokojnego ducha”. A więc zabolało Kłopotowskiego. A że nieustannie atakował, lżył i opluwał wszystkich, którzy przeciwstawiali się zakłesmu ciepelku intelektualnemu Lublina, jego marazmowi umysłowemu, nie dziwnym, że proponowano naszemu duszpasterzowi spokojny wypocinek za piecem.

Biernacki w „Kurierze” niejednokrotnie dawał odprawę napastliwym ciukubracjom księdza Ignacego, pisząc, że tenże „rozsiwja tendencyjne kłamstwa”, a w „Lisicie otwartym do ks. Ignacego Kłopotowskiego” („Kurier” 1908, nr 41) tak działalność dobroczynną owego kapłana charakteryzował: „Nie uznaję działalności dobroczynnej człowieka, którego ostatecznym rezultatem życia jest posiadanie kamienicy na ul. Królewskiej, Sierakowszczyzny, Koionii Jacek, drukarni i 2 księgarni, podczas gdy biedni, którymi się zajmował, znajdowali się często w bardzo oplakany stanie”.

Inny redaktor, Władysław Stodolnicki, w wydawanym przez siebie bezpartyjnym „Gońcu Polskim” odmawiał Kłopotowskiemu umiejętności „oceniań sprawy i wydarzeń”. Wróćmy jednak do wspomnianego artykułu Kłopotowskiego. Dowiadujemy się z niego także, że w „Błotku”, oprócz tekstów Komarnickiego, znalazły się utwory pióra innego lublinianina: „Ale proszę uważać, kto jeszcze z pisarskiego talentu korzysta w „Błotku”. Pan Romuald Wysocki, który przez skromność ukrył swoje nazwisko w napisie nad „Błotkiem Komarnickiego et Comp.”. Na owym Wysockim, dając upust swemu antysemityzmowi, nasz dzielny kapłan nie zostawił przysłowiowej suchej nitki. Zarzucał mu przede wszystkim współpracę z Żydami.

Kłopotowski nie poprzestał na jednym krytycznym artykule. Jeszcze 13 lipca 1907 pisał, że „dzięki piśmnom żydowskim, socjalistycznym i endeckim przyjdzie do większego zepsucia moralnego”. Choć nie wymieniał tych piśm z tytułów, to nie ulega wątpliwości, że i owo nieszczęsne „Błotko Lubelskie” stało mu ością w gardle.

Michel Platini ma dużo czasu...

Po zakończeniu kariery sportowej jeden z najsłynniejszych współczesnych piłkarzy, Michel Platini, zamieszkał wraz z żoną, Christèle, dziećmi — Laurentem i Marine oraz psem rasy husky, wabiącym się „Daff”, we własnym obszernym domu z ogrodem w Nancy we Francji. Dziennikarka tygodnika „Paris Match”, Sabine Cayrol, zapytała go w wywiadzie dla swojego pisma, czy od dawna marzył o osiedleniu się właśnie tutaj. Relacjonujemy ów wywiad w obszernych fragmentach.

— Kupiłem ten dom — mówi Platini — już w 1983 roku, nie zastanawiając się, kiedy i czy w ogóle tutaj zamieszkać. Po prostu dom mi się podobał. Ale gdy zdecydowałem się na rozstanie z piłką, wydało mi się zupełnie naturalnym, aby osiedlić z żoną i dziećmi właśnie tutaj. Zresztą urodziłem się w tych stronach, siedemdziesiąt pięć kilometrów od Nancy, w miejscowości Joué. Jest to więc trochę powrót do źródeł... Nie marzyłem ani przez chwilę o życiu w Paryżu. Nie mógłbym tam prowadzić normalnego, prywatnego życia.

— Chodziło panu o usunięcie się w spokojne „życiowe zacisze”?

— Coś w tym rodzaju. Życie dało mi niewiarygodną szansę: przejścia „na emeryturę” w wieku trzydziestu dwóch lat. Możliwość robienia tego, na co mam ochotę. I udało mi się pozostać nietkniętym...

— Co to znaczy: nietkniętym?

— To znaczy, że jestem nietknięty fizycznie: w pełni zdrowia i formy. I to właściwie na samym początku mojej pełni życia. Moje dzieci są jeszcze zupełnie małe...

— I co pan zamierza teraz począć z tym wszystkim?

— Jeszcze nic nie wiem.

— Jak to?

— Jeśli mówię, że nie wiem, to znaczy, że naprawdę jeszcze nie zdecydowałem, jak ma się potoczyć moje życie zawodowe. Jedyną rzeczą, jaką już wiem na pewno, to sprawy mojego życia prywatnego. Moją ambicją w tym względzie jest zapewnienie szczęścia moim dzieciom. Miałem szansę posiadania rodziców, którzy opatrzyli mnie wspaniałym kapitałem życiowym. Chciałbym zapewnić podobny kapitał także własnym dzieciom.

— Co to było takiego ten kapitał?

— Wychowanie. Oparte na miłości. Także na wolności, ale z mocnymi uwarunkowaniami moralnymi. Nauczanie mnie rozróżniania tego, co dobre, a co złe.

— Teraz stał się pan człowiekiem wolnym. Co pan zamierza, tak naprawdę, począć z tą swoją wolnością?

— Nic.

— To okropne: nie mieć żadnych planów, projektów na przyszłość, żadnych pragnień, pasji życiowych!

— To panu tak uważa. Przecież wszyscy właśnie marzą o tym, żeby mieć nieustanne wakacje.

— Wakacje to nie znaczy: próżnia. Nie ma pan zamiaru poświęcić się teraz lekturze, chodząc do teatru?

— Proszę się zatrzymać... Ja nie jestem intelektualistą. Nie lubię czytać. Nie chodzę do teatru. Trzeba mnie brać takim, jaki jestem.

— Nie mam zamiaru pana zmieniać. Po prostu jestem zaskoczona tym wszystkim, co pan mówi.

— A to dlatego, że przyszła pani do mnie z pewną, z góry już powziętą, ideą.

— Ależ nie! Tylko wydaje mi się wręcz niemożliwe spotkać się z czymś takim, jak brak u kogoś projektów na przyszłość.

— A jednak... Grając w piłkę, zawsze wybiegałem spojrzeniem w przyszłość nie dalej niż na trzy dni. To znaczy do najbliższego meczu. Jestem taki, jaki wyrosłem, grając w piłkę. Spekulacje na temat przyszłości, wówczas, kiedy zazwyczaj ową „przyszłość”, to znaczy mecz, mierzy się dystansem półtoragodzinnym... to całkiem krótki okres, nieprawdaż?

— Tak więc chce pan żyć bez żadnego zajęcia?

— Nie zastanawiałem się nad tym. To pani mnie do tego zmusza swoimi pytaniami. Pani uważa, że to smutne — nie stawiać sobie pytań. Ja myślę wprost przeciwnie.

— A jednak nalegalabym na odpowiedź.

— No więc, być może, nie będzie to trwało więcej niż pół roku. Ale ja w każdym razie mam intencję żyć spokojnie. Przejściowo...

— Wolę, kiedy mówi pan o przejściowości. Może to dobry okres na podróże?

— Tak jak ja bym nie miał dość podróży! To opowiem pani historię, która się pewnie pani nie spodoba. Pewnego dnia znalazłem się na wyspie, na wysokości Brazylii. Tylko że nie zobaczyłem ani kawałka tej wyspy. Cały czas spędziłem we wnętrzu statku, grając w karty.

— Istotnie, to mi się wcale nie podoba. Nie cechuje pana zbyt ciekawość świata...

— I tu się pani myli. Mnie interesują ludzie. Pytała mnie pani o literaturę, o teatr. A mnie nie interesują tak książki czy sztuki teatralne, jak ludzie, którzy je tworzą. Chciałbym teraz, kiedy mam już czas, spotykać się z takimi ludźmi, aby zrozumieć, jak powstaje książka, jak się reżyseruje sztukę teatralną itp.

— Nareszcie jakieś projekty!

— Nie. Zwyczajna otwartość na świat realny. Zaczęłem grać w piłkę w wieku sześciu lat i ta pasja pochłonęła mnie bez reszty, całkowicie. Teraz chciałbym wniknąć w świat realny, świat innych ludzi. Aby zrealizować te marzenia, mam ogromną szansę: posiadam dużo wolnego czasu. Tak więc chcę odkryć mnóstwo „sekretołów”. Na przykład: telewizję...

— A oczekując nowej, profesjonalnej fascynacji, jak pan, konkretnie, żyje?

— Tutaj, w Nancy, w moim domu, w otoczeniu rodziny. Szkoła, do której chodzi Laurent, znajduje się zaraz za murem naszego ogrodu. To jest o tyle praktyczne, że mój syn nie musi, aby po niego przychodzić po zakończeniu lekcji.

— A dlaczego pański syn w ten sposób reaguje?

— To pewnie nie tak łatwo być synem Platini. Może nie tyle jeśli chodzi o niego samego, ale z powodu kolegów z klasy. Laurent, jeśli idzie o charakter, jest bardziej podobny do matki, Marine — do mnie. Jestem szczęśliwy, że mogę być razem z nimi na co dzień i obserwować, jak się rozwijają. To pasjonujące. To jest to, co traktuję w danej chwili najbardziej poważnie. Tylko proszę nie myśleć, że siedzę cały czas w domu. Wkrótce wyjeżdżam do Tokio, gdzie mam przeprowadzić kilka wywiadów dla mojej audycji telewizyjnej. Mam również zobowiązania wobec firmy Thompson. A więc nie jestem aż tak totalnie nieaktywny...

Oprac. MD



Rozmowa z Krzysztofem Pytlem

Dokończenie ze str. 1

doskonalsza imitacja życia, wojny. Może to także stanowi o jej sile.

— W plebiscytach na najlepszych sportowców roku coraz częściej pojawiają się nazwiska szachistów. Wielu ludzi twierdzi tymczasem, że szachy nie są sportem, a nagła popularność tej dyscypliny jest rezultatem ogólnego kryzysu w sportach bardziej spektakularnych, masowych. Jak to naprawdę wygląda?

— Od lat pięćdziesiątych w ZSRR szachowy mistrz świata w danym roku jest uznawany za najlepszego sportowca. Podobne zjawisko wystąpiło także w Jugosławii. W wielu innych krajach przeważa tendencja, iż szachy należą raczej do zjawisk socjologiczno-społecznych, do obszarów rozrywki, a nawet sztuki. W istocie ściśle definicja jest w tym przypadku sprawą bez znaczenia. Jeśli istnieje taki zawód, istnieje nań ludzkie zapotrzebowanie, to wszystko inne staje się nieważne. Nie można tu wszakże nie zauważyć, iż szachy finansowane są głównie ze środków przeznaczonych na sport, że funkcjonują w nich podstawowe elementy walki, rywalizacji, wysiłku, a więc wszystko to, co stanowi przecież samą istotę sportu. O zwycięstwie decyduje tu także sportowa ambicja. Nieważne więc czego jest w szachach więcej, sportu czy sztuki, liczy się tylko fakt, iż to pasjonująca sprawa.

— Mówi pan o ambicji, a jednak cała światowa prasa donosi regularnie o ogromnych pieniądzach, jakie w chwili obecnej wspierają tę grę.

— Dla takich ludzi jak na przykład Kasparow czy Karpow pieniądze

nie mają znaczenia. Jestem przekonany, że nie myśleli o nich na początku, ani też nie poświęcają im uwagi teraz. Mechanizmem, który pcha ten do przodu i nadal pcha, jest wyłącznie chęć wykazania swojej wyższości nad przeciwnikiem, chęć doskonalenia siebie. To tylko kategorie, w jakich patrzy się na ten sport, uległy zmianie. Kiedy piętnaście lat temu wyjeżdżałem za granicę, a w kwestionariuszu paszportowym wpisywałem jako swój zawód: międzynarodowy mistrz szachowy, miałem mnóstwo kłopotów. Dziś niemal wszyscy pogodzili się z istnieniem takiej profesji.

— Kto jednak finansuje podobne mecze jak w Sewilli? Potrafię zrozumieć piłkarzy zarabiających krocie; na ich występy przychodzi wszak czasami ponad sto tysięcy ludzi. Czy ogląda się jednak wykładając pieniądze na mecz szachowy?

— Działają tu dokładnie te same mechanizmy. Na przykład w ZSRR mecze szachowe potrafi oglądać kilka tysięcy widzów. Poza tym dochodzą opłaty z transmisji telewizyjnych, prowizje za reklamy, indywidualni i zbiorowi sponsorzy, fantiemy za publikowane książki czy artykuły, a także reklamy prasowe. Szachom poświęcają przecież swe lamy najpoważniejsze pisma polityczne świata — „Spiegel”, „Time”, „Le Monde” itd.

— Powróćmy jednak do wersji szachów jako dyscypliny sportowej. Jak wygląda na przykład taki trening szachisty?

— To sprawa bardzo złożona. Istotą tej gry jest przede wszystkim umie-

Rozmowa z Jackiem Poletyłą

Dokończenie ze str. 1

stwo Polski. W bieżącym sezonie, na półmetku, zajmujemy drugą pozycję w kraju. I tutaj muszę wymienić swoich kolegów z drużyny: Jacka Romańskiego, który w parze z Piotrem Tuszyńskim z „Warszawianki” jest aktualnym mistrzem olimpijskim, Zbigniewa Chomicza-Barę, Włodzimierza Maryniowskiego, a ponadto trzech transferowców spoza Lublina...

— Chwila. Ja teraz nie zbieram materiałów do książki pod tytułem „Kto jest kim w lubelskim brydżu sportowym?”, tylko usiłuję przeprowadzić wywiad z panem. A pan podobno jeździł po Europie i wygrywał najpoważniejsze turnieje międzynarodowe?

— No, nie sam, tylko w składzie pary albo zespołu.

— I co?

— Na przykład w 80 roku z Jackiem Romańskim wygraliśmy turniej par w Londynie, w 83 roku z Włodzimierzem Maryniowskim turniej par w Monte Carlo. Obie imprezy zaliczane do punktacji Pucharu Europy.

— A ostatnio co pan wygrał?

— W parze ze Zbigniewem Chomiczem-Barą i w zespole z dwoma zawodnikami Polonii Warszawa „wygramy”, pod firmą Polskiego Związku Brydża Sportowego, trzecie miejsce w turnieju teamów w Mediolanie. Było to w grudniu ubiegłego roku, startowało 160 zespołów, niemal cała czołówka Europy.

— Odkąd pan się bawi w tę grę?

— Bawiłem się jak byłem mały. Zaczynałem od piętnastego roku życia, czyli przeszło dwadzieścia lat temu. Od około dziesięciu lat traktuję brydża profesjonalnie, choć oczywiście każda gra ma w sobie coś z magii czy zabawy, nawet jeśli są do wygrania jakieś pieniądze.

— O pieniądzu, choć to podobno temat nie dla dżentelmenów, chciałbym jeszcze pana spytać, ale chwila — zebrało mi się na wspominki. Gdy byłem kilkunastoletnim chłopakiem warszawskim, wstawiano mi w szkole, że jaż jest wyklepy jako zgnity niazmat kapitalizmu, a o brydżu mało kto z moich rówieśników w ogóle słyszał, co najwyżej ci z „dobrych domów”, gdzie dorodzi cichcem ćwiczyli w kółko jakąś swojską odmianę Culbertsona. Ale wkrótce, w 56 roku, brydż wyszedł z podziemia, zresztą jaż także, a my wszyscy, młodzi chłopcy i dziewczęta w Warszawie, rzuciliśmy się używać tych burżuazyjnych przeżytków. Niebawem ukazało się czasopismo „Brydż”. A w nim zapis międzynarodowy, nowinki licytacyjne: przygotowawczy trefl i kara, odrywka szlemowa wywiadowcza, rzymski i neapolitański trefl... Powstał PZBS, zaczęto organizować turnieje brydża sportowego, w których występowały wytrawni gracze: Czekański, Łowiński, Niedźwiedzki, Bitner, Nowak, Seifert... Czy panu coś mówią te nazwiska?

— I owszem, choć to nie moja epoka. Jeszcze mogę wymienić Rożekkiego, Wiśniewskiego... Stara gwardia, większość nie żyje.

— Zabrakło „chłopców” z tamtych lat...

— Nie wszystkich przecież. Wiem, że na przykład Seifert pisze encyklopedię brydżową. Ale dlaczego my o tym mówimy?

— Ażeby się trochę porozczulić z nadejściem Nowego Roku.

— No i bardzo dobrze. Tym bardziej, że niedawno minęło 30-lecie brydża sportowego w Polsce.

— W tamtych pionierskich czasach, jakie wspominał, kiedy sekcje brydżowe powstawały niemal przy każdym domu kultury, dość szybko za panowała moda, szczególnie wśród neofitów, na sztuczne otwarcia czy w

jętność wykorzystania nagromadzonej wiedzy w praktyce rywalizacji. Taką umiejętność trzeba umieć w sobie wyrobić. Na jej funkcjonowanie składają się rozmaite elementy: pamięć, odporność psychiczna, zdolność szybkiej regeneracji sił, koncentracja. Trzeba więc w zasadzie dobrze poznać samego siebie: nauczyć się przewyższać własne słabości i wykorzystywać własne atuty. Trening szachisty jest więc przede wszystkim ustawiczną pracą nad sobą, nad swoim charakterem. Nie bez znaczenia jest tu, rzecz jasna, talent, ale również i nade wszystko, rozbudowana wyobraźnia.

— A zatem określone predyspozycje. Czy w związku z tym istnieją narody, których cechy emocjonalne szczególnie przysposabiają do sukcesów w tej grze? Skąd bierze się na przykład absolutna supremacja szachistów ZSRR?

— Istotnie, można popatrzeć na ten problem i z tego punktu widzenia. Ludźmi niezwykle utalentowanymi w tej dziedzinie są z pewnością Żydzi. Ale oprócz predyspozycji ogromną rolę odgrywa także sprawa tradycji i organizacji. W Związku Radzieckim już po rewolucji rozpoczęła się epoka gwałtownego rozwoju szachów. Nie miały wpływu na taki stan rzeczy miały choćby fakt, iż sam Lenin grywał w szachy i żywo interesował się tym sportem (był nawet posiadaczem legitymacji numer 1 Radzieckiego Związku Szachowego). Również ówczesny Komisarz Sprawiedliwości Kirylenko był w tej dziedzinie pasjonatem. Stwarzało to określony klimat i, co tu dużo mówić, sprzyjało nakładom finansowym na tę dyscyplinę. Szachy stały się w ten sposób w ZSRR sportem masowym. W innych krajach tymczasem nadal były traktowane jako zajęcie kameralne. Nic więc dziwnego, iż Związek Radziecki tak bardzo wyprzedził świat pod tym względem. Obecnie jest tam sześć milionów zrzeszonych szachistów, nie mówiąc już o amatorach i hobbistach. Podróżując kiedyś Radzieckimi Kolejami do Pa-

ryża, ze zdziwieniem stwierdziłem, że konduktor obsługujący nasz wagon znał moje nazwisko. On się tym po prostu interesował. Reszcie świata trudno więc w takim klimacie nadrobić powstałe zaległości. A jednak próbują: Jugosławia, Holandia, Argentyna, Węgry przeznaczają na szachy ogromne nakłady.

— Rozumiem, że szachy są grą nieskończonych kombinacji. A jednak żyjemy w epoce mózgowi elektronicznych, komputerów, zaprogramowanych robotów. Czy wszystkie te, oparte na logice matematycznej, urządzenia nie położą kiedyś kresu tej zabawie?

— Uważam takie obawy za absolutnie nieuzasadnione. Aby zrealizować podobną utopię, komputer musiałby myśleć jak człowiek; należałoby go wyposażać nie tylko w pamięć i odpowiednio rozbudowany program, ale także w intuicję i ludzkie doświadczenie. Tymczasem komputer, choć posiada pamięć bardziej chłonną niż człowiek, nie potrafi i nie będzie potrafił działać samodzielnie. Dylematy funkcjonalne nie są do końca jeszcze poznane przez ludzkość jak więc mogłaby ona stworzyć coś przekraczającego jej własną zdolność pojmowania? Poza więc początkową fazą gry, gdy pewne posunięcia są poniekąd schematem, urządzenia mechaniczne nie są w stanie wykonywać przemyślnych ruchów. Gubią się nawet w końcówkach partii, gdy na szachownicy nie ma już wielu figur. W chwili, gdy obok kalkulacji zaczyna odgrywać rolę intuicja i świadomość, komputery okazują się bezradne. Komputer potrafi wygrać z przeciętnym amatorem, być może, że czasami pokona średniego profesjonalistę, ale koncepcji gry w szachy na pewno nie posunie do przodu. Jedyny pożytek z tych urządzeń na poziomie mistrzowskim, to ich użyteczność jako banku informacji.

— Skoro szachy są, jak pan powiedział, imitacją życia, czy pomagają w takim razie żyć? Czy uczą, jak to robić, czy oferują gotowe recepty?

— Na pewno kształtują charakter i uczą samodzielności myślenia. Są grą wyobraźni; sprawą przewidywania i umiejętnością posegregowania istotnych aktualnie elementów. Jeśli te cechy pomagają żyć, to i szachy spełniają na pewno swoją wspomagającą rolę.

— Spróbujmy zatem odwrócić tę sytuację; czy doświadczenie życiowe, znajomość jego realiów, pomagają z kolei w osiąganiu sukcesów w grze?

— Na pewno pomaga inteligencja i weryfikujący pogląd doświadczenia. Nie da się, co oczywiste, określić procentowo, ile jest w szachach czystej kalkulacji, a ile twórczej improwizacji, nie ulega jednak wątpliwości, że oba te elementy są nierozłączne. Ogromnie ważna jest także teoretyczna wiedza, spełniająca w tym przypadku rolę sprawności warsztatowej. Trochę przypomina to wszystko sławną „turbinkę Kowalskiego”. Czy pomysł był dobry, a jedynie wykonanie złe? A może było odwrotnie? Najlepszy szachista to z zasady człowiek skomplikowany.

— Jak widzi pan obecną sytuację w szachach polskich? Czy sukcesy Agnieszki Brustman nie napawają optymizmem? Czy wkrótce doczekamy się graczy na poziomie światowym?

— Niestety, moje poglądy nie są optymistyczne. Przed wojną mieliśmy kilku świetnych szachistów, głównie Polaków żydowskiego pochodzenia. Od wyzolenia wszakże zaczęła się tragedia polskich szachów i trwa do dziś. Polskimi szachami rządzą bowiem w przeważającej większości amatorzy i ludzie niekompetentni, a swoistym oskarżeniem może tu być absolutna niechęć do kontaktów, choćby z zawodnikami radzieckimi, od których można by się przecież tak wiele nauczyć. Nie jest bowiem prawdą, iż to oni unikają kontaktów z polskimi partnerami.

— A Brustman?

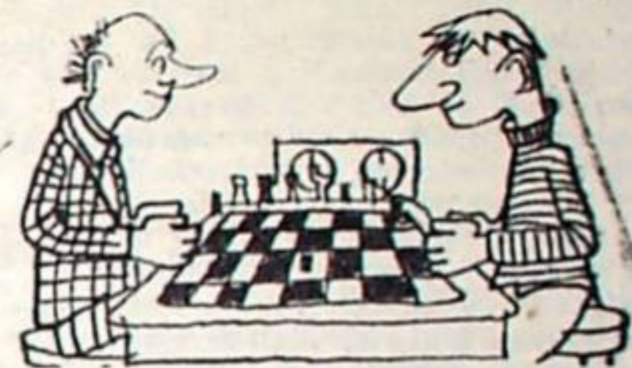
— Bądźmy szczerzy. Szachy kobiece nie są zbyt cenione w świecie. A mówiąc otwarcie, w ogóle się nie liczą. Kobiety grają generalnie gorzej od mężczyzn. Gdzie tkwi przyczyna? Otóż Kasparow napisał w jednej ze swoich książek, że istota problemu tkwi w sferze genetycznej. Ujął to mniej więcej tak, że kobieta nie jest w stanie skoncentrować się w pełni na grze, gdyż tok jej myślenia będzie ustawicznie przerywany drobnymi sprawami, do których odbioru jest genetycznie przygotowana.

— A więc również w dziedzinie szachów ogólny kryzys polskiego sportu znalazł swoje odbicie. W tym kontekście dobrze jednak, że mamy przynajmniej kobietę-arcymistrza, prezydentkę do tytułu mistrzyni świata. Dziękuję panu bardzo za rozmowę.

Rozmawiał: Wiesław Horabik

PS. Rozmawiając z Krzysztofem Pytlą, znalazłem się w sytuacji kłopotliwej. Kiedy nie grałem bowiem w szachy i nie znam zasad rządzących tym sportem. Była to więc próba laika dowiedzenia się czegoś o sporcie, który już na początku przedstawiono mi jako swoją odmianę sztuki. Czy dobrze się stało, czy źle, że to właśnie ja spisałem tę rozmowę, pozostać nie zapewne jeszcze jedną zagadką spod kryptonimu „turbinka Kowalskiego”. Jedno wszakże jest pewne: pasja, jaka towarzyszy szachom, to pasja przemoina. A pasja przemoina potrafią zmieścić nawet „nie-wtajmniczonych”.

W. H.



ogóle sztuczne, skomplikowane systemy licytacyjne. No i bluffy, które były prawdziwą zmorą turniejów. Przy stolikach rozgrywały się dantejskie sceny na tle nieporozumień w licytacji. Partnerzy zapominali znaczenia swoich odzywek, nie umieli go wytłumaczyć przeciwnikom, usiłowali się „dogadywać” poza licytacją, często ładowali na kontraktach z wpadką bez kilku lew, dając prezenty nawet skądinąd słabym przeciwnikom. Bardzo to wszystko wykrywało turniejowe wyniki, ale trzeba przyznać, miało też niepowtarzalny koloryt i smak. A dziś?

— Przede wszystkim poziom brydża sportowego w Polsce znacznie się wyrównał, stąd i „prezenty” rzadsze. Bluff odchodzi w przeszłość jako odzywka łatwo wykrywalna, czyli na ogół niekorzystna dla „blefiarzy”, zresztą chyba zawsze taką był.

— Zgodnie z prawdą, że cwaniak najprędzej oszuka samego siebie?

— Zapewne. Szczególnie głupi i nachalny cwaniak. Ponadto w regulaminach wielu turniejów zabrania się bluffu na pierwszej i drugiej „ręce”.

— A otwarcia?

— Ponieważ kontrakty na wysokości dwu—trzech są statystycznie najczęstsze i trzeba się szybko porozumieć z partnerem co do koloru, więc od ładnych paru lat czółowka w Polsce i na świecie stosuje raczej otwarcia naturalne, choć o dosyć niskim dolnym limicie wartości „ręki”. Dopiero w strefie dogranej, czyli partii lub robra, a szczególnie szlemowej, wprowadza się odzywki sztuczne, aby precyzyjnie sprawdzić komplementarność i siłę kart obu partnerów. Taka na przykład konwencja „Splinter”, pochodząca od nazwiska jej twórcy...

— Muszę panu przerwać, bo rozmowa robi się za bardzo profesjonalna. Ale wspominałem jeszcze o „dogadywaniu się” poza licytacją: gestykulacja, mimika, intonacja i tym podobne. Człowiek bywa przecież istotą ułomną, czemu nawet nie patrzył zapobiec tak zwana szlachetna rywalizacja sportowa.

— Od tego sezonu w Polsce na meczach zespołów pierwszej ligi i w rozgrywkach kadry A wprowadzono screeny, czyli rodzaj drewnianych parawanów na stolikach oraz bidding-boxy, czyli pudełka do licytacji z ekranami. W świecie stosuje się te urządzenia od dość dawna, ale też tylko w imprezach mistrzowskich.

— Więcej podczas licytacji i rozgrywek nie widzi się buźki partnera i nie

szlęży się jego sznaps-barytonu?

— Tak jest.

— To ja bym kopnął pod stołem, chyba że i pod stołem są przegrody, wtedy bym kopnął w stół...

— Proszę pana, gdy ktoś chce „cynkować”, to nie ma na niego silnych. Zabronia mówić, będzie chrząkał albo zgrzytał zębami. Ale sam pan powiedział, że, cytując, „cwaniak najprędzej oszuka samego siebie”.

— Lecząc pan powiedział, że, cytując, „szczególnie głupi i nachalny cwaniak”, oraz jeszcze, że „poziom brydża sportowego w Polsce znacznie się wyrównał”. Mniejsza z tym... Zatem doszliśmy do screenów i bidding-boxów. Mało widać, mało słychać. To jest gra w karty czy konfesjonal? A palić wolno? Pytam, bo znalazłem parę brydżową, która niszczyła swoich przeciwników kopieniem strażników śmierdzących cygar.

— Wolno palić, aczkolwiek są turnieje, w których wyznacza się „runy niepalące”. Ale pan jeszcze pytał: gra w karty czy konfesjonal?

— Ja trochę żartowałem.

— Domyślam się... Brydż w takiej edycji najbardziej jest chyba zbliżony do sportu, bo ogranicza zawodników grających faul, eliminuje momenty losowe, jak „szczęście w kartach”, i stwarza konkurentom równe szanse, szczególnie w spotkaniach zespołów i w wielorodzianowych turniejach par o wyrównanym wysokim poziomie. Ponadto jest sportem wymiernym, w odróżnieniu choćby od boksu czy jazdy figurowej.

— Najbardziej wymierne są szachy, szczególnie, że każdemu głowa tam puchnie na własne konto, bo po drugiej stronie stołu znajduje się tylko przeciwnik. W brydżu ma się jeszcze partnera. Czy nie zdarzyło się panu pomyśleć: „Cóż on wyczynia, ten przekłety knociarz z naprzeciwnika! Gdyby tam siedział drugi Poletyło, to by dopiero była gra”? Jak to u was jest z doбором partnerów i trwałością par?

— Wpiewać trzeba się spotkać przy stoliku i nieco poznać, a potem to trochę nieczym w miłości: co się zaczyna i co się kończy. Zazwyczaj nie wiadomo dlaczego. Fluidy tajemne. Ale bywa także dobór metodą prób i błędów aż do pozytywnego skutku. A co do pierwszego pytania, to są myśli, o których mędrcze nie mówią nikomu.

— Czego, poza talentem, wymaga od człowieka ten sport w wydaniu profesjonalnym?

— Przede wszystkim na dziesięć tysięcy członków PZBS prawdziwych

profesjonalistów jest może około pięćdziesięciu.

— I pan do nich należy?

— Raczej tak, skoro wraz z moim partnerem, Chomiczem-Barą, mieścimy się w kadrze A, liczącej tylko dwanaście par.

— Bardzo ładnie, mieściecie się i co dalej?

— Musimy wspólnie z partnerem ciągle ćwiczyć rozkłady dla udoskonalenia naszego systemu licytacji, musimy indywidualnie pracować nad rozgrywką, studiować literaturę fachową, przeważnie angielskojęzyczną i trudno dostępną. No a głównie grać, stale grać: mecze w lidze, rozgrywki kadrowe, turnieje zespołów i par, kongresy brydżowe...

— Czy pan kiedyś normalnie pracował jak przeciętny obywatel PRL?

— Owszem, po skończeniu fizyki w UMCS byłem nauczycielem tego przedmiotu w szkole zawodowej.

— Gdybym był złośliwy, a może nawet niesprawiedliwy, to bym powiedział tak: ojczyzna ludowa wydukała pana w zakresie fizyki, a pan, zamiast wymyślić drugą teorię względności, rznie w karty od rana do wieczora, często aż w Monte Carlo, Londynie lub Mediolanie, i jaki z tego pożytek?

— Wie pan, coś mi się dziwnie zdaje, że teorię względności już „wymyślono”, a ja swoją edukację „odrobiłem”, przez ładnych paru lat ucząc cudze dzieci. Gdy mi zaczęło iść dobrze w brydżu, musiałem wybierać, ponieważ ta gra, traktowana serio, pochłania dużo czasu i wymaga koncentracji, a nawet izolacji.

— Czyli wybrał pan brydż, ale może brydż wybrał pana. Dalo się z tego wyżyć?

— Nie. Otworzyłem sklepik z galanterią drewnianą.

— Który panu bardzo wydatnie „pomagał” w koncentracji, a nawet w izolacji.

— Mam współnika oraz żonę.

— Ile panu daje brydż?

— Tyle, co maksymalnie może dać każda rywalizacja sportowa. Głównie satysfakcję, że się bywa lepszym od innych, a czasem lepszym od wszystkich. No i zobaczy się trochę świata.

— Niesłychane, polski sportowiec-profesjonalista żyje głównie satysfakcją!

— Ja tego nie powiedziałem. Nagrody turniejowe w Polsce sięgają i kilkudziesięciu tysięcy złotych, na Zachodzie są jeszcze znaczniejsze. Przy wyjazdach zagranicznych na ważne imprezy brydżowe kosztą podróży

pokrywa niekiedy klub albo PZBS, a niekiedy organizator, za pobyt najczęściej musi płacić brydżysta z własnej kiesy. Tak zdarzyło się ostatnio w Mediolanie i gdyby nasz czteroosobowy team nie otrzymał do udziału dwu milionów lirów, czyli około tysiąca sześciuset dolarów, za trzecie miejsce w turnieju, to wróciłbym „cofnięty” finansowo.

— A tak to jest pan „do przodu”?

— Ale raczej symbolicznie. O wiele intrygujące są dla brydżystów turnieje, którym sponsorują renomowane firmy, jak Olivetti, Campari, William Lawson, Gitanes, Lavazza. Taki sponsor bywa nie tylko fundatorem nagród, lecz również finansuje ekipy grające pod jego patronatem. A pani Lavazza, której nazwisko sygnuje wyborną kawę na rynku włoskim, sama zasiada do stolika brydżowego, aby wystąpić w sponzorowanym przez siebie teamie z udziałem pary polskiej.

— A co sponsorzy z tego mają, bo nie wierzę, żeby tu chodziło o bezinteresowną filantropię na rzecz szlachetnych brydżystów, w tym szczególnie polskich?

— Idzie oczywiście o reklamę, właściwie prawie darmową, bo gotówka wydana na sponsorowanie opodatkowaniu nie podlega.

— Gdy zawiódł wszelkie teamy, turnieje, sponsorzy i nie dopiszą premie, nagrody, wyjazdy, to wówczas brydżysta sportowy siada do „kółkowego” roberka z bogatymi bęcwałami?

— To się zdarza, ale do tego trzeba być wytrwałym znawcą duszy „joleniej”.

Rozmawiał: Maciej Podgóski



Rysunki: Józefa Tartowskiego

Wspomnienia Adama Ochockiego z lat wojny (11)

NOWA zabawa polegała na tym, aby kandydat na starostę, stojąc frontem do wyciągniętych gęsiego więźniów, odgadnąć, najdalej do dziesiątym podejściu, kto go trzepnie w głowę. Wodzirej kazał mu przymknąć powieki, przytrzymał je chwilę obydwoma wskazującymi palcami, odjął je i zapytał kandydata, czy rozumiał reguły gry. Po czym polecił mu znowu przymknąć powieki, ale tym razem położył na nich swą lewą i prawą ręką — mały i wskazujący, a drugą ręką z całej siły wyrzynał swą ofiarę w tył głowy i szybko ręce opuścił.

— No, który? Zgaduj!

Delikwent, trzymając się za ciemną, wskazał kogoś z szeregu.

— Nie ugał, dawaj jeszcze poprobujem!

Dziesięć razy wodzirej wymierzał ciosy stojącemu, ten dziesięć razy bezskutecznie zgadywał, wreszcie zrezygnowany, obolały, z głową obtłuczoną jak ulegalka, leżał na pryczy.

Z początku ja i Alojzy również śmiechem reagowaliśmy na te igrzyska, potem zrobiło się nam żal niefortunnych i zaszyliśmy się w drugim końcu celi.

Ktoregoś dnia strażnik wywołał mnie na korytarz.

Bierdanka, po polsku berdanka, to strzelba myśliwska. W żargonie więziennym, nie wiem dlaczego, oznacza wałkówkę. Na słomiance leżał solidny woreczek, pełen wiktualii: bochenek chleba, kostka masła, ciasto, kilka pomidorów, pęto kiełbasy, butelka oleju. Poczcłwa Ludmiła! Sama nie dojadła, a zdobyła się na taki królewski dar!

Alojzy też się wzruszył. Po wybuchu radości ogarnął nas niepokój o losy bierdanki. Tak na oko co drugi lokator celi to szpana, złodziej. Jak się ustrzec przed zamachem na nasze skarby? Na jednym posiedzeniu tego wszystkiego nie zjemy...

— Mam pomysł — powiedziałem. — Obok nas leży rosły Cygan. Dam mu parę rubli, niech popilnuje worka!

Diadzia Matwiej chętnie się zgodził, a gdy poprosiłem go o zdwojoną czujność, uśmiechnął się pobłażliwie.

— Nie bezspokojsa. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś okradł Cygana!

Podłożył worek z prowiantem pod fufajkę, na to kożuch, objął oburącz bambette i leżał na nich jak na babie. A my, wzięwszy się pod rękę, przemierzaliśmy celę i nie spuszczaając na moment Cygana z pola widzenia, ustalaliśmy, jak i kiedy spożyjemy przysłane dary.

Pod wieczór wydało mi się, że Cygan leży jakby niżej niż przedtem.

— Podnieść się! — zawołałem i gdy ten posłusznie odgarnął okrycia, zmartwiłem: worek, owszem, spoczywał na swoim miejscu, tyle, że pusty!

Cygan nie zawinił. Jakiś chłopak wśliznął się pod pryczę, poszerzył kozikiem dziurę po sęku i tą drogą wydubał całe żarcie. Ocalała jedynie butelka oleju.

Po tygodniu znowu dostałem bierdankę, też w płóciennym woreczku. Nauczony smutnym doświadczeniem, postanowiliśmy przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności.

— Zrobimy tak — powiedziałem. — W ciągu dnia na chwilę nie wypuścimy worka z ręki, a w nocy będziemy go przytrzymywać z całej siły — ty jedną i ja jedną ręką. Przy najlżejszym dotyku cudzej lapy ockniemy się i spuścimy manto złodziejowi!

Alojzy uznał mój pomysł za doskonały. Rano zbudziłem się z kurczowo zaciśniętymi dłońmi, tak jak zaplanowałem. Tylko ja ścisnąłem rękę Alojzego, on moja — a worka nie było. We śnie jakiś cwaniak-psycholog połączył fachowo nasze dłonie i zwęził całą bierdankę, nawet opakowania nie zostawił!

Młody chłopak, kto wie, czy nie ten sam, co podkradł się pod pryczę Cygana, a w nocy skrzyżował nam dłonie, zaproponował:

— Djadzia, kakaja u was boroda! Dam wam brzytwę, ogolcie siebie i waszego przyjaciela.

Brzytwa? W więzieniu? Coś niezwykłego. Chłopak wydobyl z jakiegoś schowka duży gwóźdź, rozklepał go starannie na kamiennej posadzce.

— Pożalsta, Pobrojtes!

Wyrzuciłem brodę w zupie i przy pomocy Alojzego, który zastąpił mi lustro, pojękując z bólu, pozbyłem się obmierzłego zarostu. Po ponownym rozklepaniu gwóźdźka Alojzy poszedł w moje ślady.

Zaprzyjaźniłem się z kilkoma więźniami. Dostali paczki z domu, zaprosili nas do wspólnej uczty.

— Pamiętajcie — powiedział jeden z fundatorów — w więzieniu obowiązuje niepisane prawo dzielenia się z bliźnim. Nikt nie może samemu zająć się, gdy inni głodują. Trzeba zawsze się dzielić. Dziś ty mnie, jutro ja tobie!

Ponieważ zrozumieliśmy swój błąd, przyrzekliśmy sobie zastosować się na przyszłość do udzielonej nam rady. Ale nowe bierdanki jakoś się nie zjawiały. Zjawili się natomiast zwiastuni nowiny, która całej celi zaparła dech w piersiach.

Dwaj nowo przybyli więźniowie mieli zadowolone, roześmiane gęby, jakby przyprowadzono ich nie do więzienia, lecz na przedstawienie komedii do teatru.

— Co się stało?

— Nic nie wicie?! Wojna się skończyła! Niemcy skapitulowali bezwarunkowo!

Nie będę się silił na opisanie tego, co działo się w celi. Najtęsze pióro nie odtworzy tej atmosfery. A po dwóch dniach wezwano mnie i kilku innych do kancelarii więziennej.

— Zostaniecie przeniesieni do obozu. Lada dzień spodziewamy się ogłoszenia amnestii.

Alojzy został w więzieniu. Wiadomo było, że amnestia nie obejmuje tych z większymi wyrokami.

W pieriesilnom punkcie, punkcie etapowym, wydarzyła się nieprawdopodobna historia. Do celi wszedł młody Cygan w towarzystwie rówieśnika, Rosjanina. Zamknęli za sobą drzwi, podeszli do siedzącego przy wejściu więźnia. Cygan wlepił w niego fosforyzujący wzrok, wycelował mu prosto w oczy dwa palce i warknął:

— Dawaj chleba!

Prześwietlony

Przerażony więzień bez szemrania włożył do trzymanego przez Rosjanina worka całodzienną pajkę chleba. Cygan, ciągle grożąc wylupieniem oczu, obszedł wszystkich, rabując przy pomocy swego współnika, co kto miał. Nikt nie ośmielił się zareagować, a przecież było nas około dwudziestu silnych mężczyzn! Jeden z więźniów, chcąc wzbudzić litość, wyjął sztuczną szczękę. Nie zrobiło to na rabusiach żadnego wrażenia. Zastanawiam się, jak ci dwaj mogli wtargnąć do naszej celi, przecież na korytarzu kręcili się uzbrojeni strażnicy!

Przypomniał mi się obóz w Rybińsku, tam również w sąsiedztwie strażników w biały dzień obrabowano nas z odzieży...

Z punktu etapowego trafiliśmy do obozu, który w porównaniu z moimi dotychczasowymi miejscami czasowego pobytu przypominał raczej kolonię harcerską. Było to gospodarstwo rolniczo-warzywnicze. Kilka baraków zajmowały kobiety, w jednym przebywali mężczyźni.

Komendant uciał ze mną dłuższą pogawędkę. Dowiedziawszy się, że jestem obeznany z robotami polnymi, mianował mnie brygadierem zastępu więźniarek.

Kilka moich podopiecznych zaszło w ciążę w czasie odbywania kary w innych obozach. Ciężarne kobiety izolowano, kierowano do lżejszych robot, a gdy ich stan tego wymagał, umieszczano je w klinikach położniczych.

Młode, nierzadko urodziwe dziewczęta, kipiące energią, chodziły koło swego brygadiera jak kurki koło koguta. Kokietowały mnie na wszelkie sposoby, pokuszając niby przypadkowo to i owo, szczyrzyły zęby jak młode wilczki, a jedna wśród śmiechu swych koleżanek zaproponowała mi:

— Machniom?

Może bym i machnął, ale czym? Żeby do zupy, zamiast sodki, wsypano trochę johimbiny, to co innego...

— To prawiczek! Zostaw go, lepiej coś mu zaśpiewajmy! — korpulentna bariszka zeskoczyła z pryczy.

— Ale nie takiego, co by go mogło zgorzyc — ujęła się za mną inna.

Wzięły się pod rękę i drępcząc w kółko zaintonowały na przemian po jednej zwrotce:

Myla baba izbu, zamoczyła pl...

nie podumajcie plochowo, pikowuju jubku,

nie podumajcie plochowo, pikowuju jubku...

A u djadi Szuja potiekło iz chu...

nie podumajcie plochowo, iz chudoj lochanki,

nie podumajcie plochowo, iz chudoj lochanki...

Kak tureckij szkipier naskocził na tri...

nie podumajcie plochowo, tri podwodnych

nie podumajcie plochowo, tri podwodnych

nie podumajcie plochowo, tri podwodnych

A uttobił Władi wasie doczenki bla... nie podumajcie plochowo, blachama torgujuł, nie podumajcie plochowo, blachama torgujuł...
Powiedziałem komendantowi o zamachu na moją cnotę.

— To nie żarty — zaszepił się. — Dziewczyny są wygodniałe, mogą wam zrobić krzywdę. Hm... Przenieś na wasze miejsce jakąś starszą więźniarkę, a wy pomożecie mi w kancelarii.

Komendant często ze mną rozmawiał! Nie pytałem go, choć to mnie intrygowało, czy też jest więźniem, on również nie zadawał mi kłopotliwych pytań. Kazał mi się przenieść do baraku kancelaryjnego. Stała tam leżanka, wymiennie sypiałem do rana i ani razu nie przyśniła mi się postawna czarnula, która tak delikatnie, tak subtelnie, zaproponowała: „Machniom?”

Tym razem nie przyśniło mi się mydło, ani „Radion”, ani żaden inny środek piorący, mimo to nazajutrz znalazłem się na wolności. A może to jeszcze za sprawą proroczego snu w areszcie śledczym w przeddzień procesu sądowego? Moja teściowa, wyrocznia w tłumaczeniu nocnych widziadeł, twierdzi, że sprawdzanie się snów wygasa po tygodniu. Zatem skłonny jestem przypuszczać, iż swoje zwolnienie zawdzięczam raczej amnestii, ogłoszonej po zwycięskim zakończeniu wojny.

Komendant obozu, wręczając mi na odchodne odpowiednią bumażkę, powiedział:

— Przywiązałem się do was, Adam Jossifowicz, ale w takiej chwili nie czas na sentymenty. Życzę wam wszelkiej pomyślności. Nie mówię „do widzenia”, w ustach komendanta obozu pracy mogłoby to zabrzmieć dwuznacznie...

— Możemy się spotkać poza obozem...

Machnął ręką. Wydaje mi się, że, podobnie jak komendant z Rybińska, też był więźniem i za dobre sprawowanie pozwolono mu odbyć resztę kary na tym stanowisku. Wspaniały to był człowiek, chłop z kośćcami. Świadczył mi różne przysługi, starał się, jak mógł, złagodzić mój pobyt w podległym sobie obiekcie. A ja nawet nie pamiętam jego imienia, otczestwa, nazwiska...

Opuszczając obóz, dokonałem krótkiego bilansu. Dwa razy byłem aresztowany, raz całkiem przypadkowo. Siedziałem w czterech miejscach odosobnienia. W obozie rybińskim ponad rok, w areszcie śledczym około czterech miesięcy, w więzieniu miesiąc, w tym obozie dwa miesiące, w sumie — prawie dwa lata. I to, jak mówią, za bezdurno, bo za te przyjęte w dobrej wierze kartki nie poczuwałem się do winy.

W miarę zbliżania się do domu, gorycz ustępowała miejsca radosnym uczuciom. Zaraz uściskam Helenkę, znajduję się w obskurnej co prawda chatce, ale ze swoimi, wolny!

Helenka już spała. Z Ludmiłą do późnej nocy wiedliśmy ożywioną rozmowę o ostatnich wydarzeniach.

— Czy ta Korab odwiedzała was?

— Od twego aresztowania nie pokazała się ani razu.

— To zrozumiałe. Zmija... Dobiore się jej do skóry!

— Zostaw. Mało ci było?

— A Zygmunt?

— Też nie przychodził. Spotkałem go przypadkowo na mieście. Tłumaczył się, że to nie jego wina, zmuszono go do podpytywania ciebie. Powiedział, że bym unikała pani Heleny jak ognia...

— A widzisz? Wiem, co o niej myśleć. A on to też dobre ziółko... Ja i Alojzy byliśmy wzruszeni twoją pamięcią o nas. Skąd miałas na te paczki?

— To dary Posalskich. Gdyby nie oni, nie wiem, co by się z nami stało. Opiekowali się mną i Helenką jak najbliższą rodziną.

Posalski, uciekinier z Polski, był krawcem. Mieszkał na Zawolżu, niedaleko nas. Właściwie nie nas nie łączyło, spotykaliśmy się rzadko, jednak gdy dowiedział się o nieszczęściu, jakie przede wszystkim ugodziło w Ludmiłę i dziecko, natychmiast pospieszył z pomocą.

— Pójdę do nich jutro podziękować za dobre serce. Potem pojedę do Butowskiego.

— Do Butowskiego? A po co?

— Odebrać teczkę, skonfiskowano mi ją na bazarze.

— Potrzebna ci do szczęścia? Nie pokazuj się im na oczy!

— Wiem, co robię. Ciekawe, jak on zareaguje na mój widok...

Rano Helenka stanęła koło mojej kofki i wlepiła we mnie zdziwiony wzrok.

— Przywitaj się córeczko. To twój tata...

Rzuciła mi się na szyję.

— Tata, tata, bawie, bawie!

Starszy śledowateł, Butowski, przyjął mnie od razu. Jego mundur zdobyli dystynkcje majora.

— Gratuluję awansu, panie sędzio... Można pogrosić o zwrot teczek!

— Oczywiście. Zaraz wypiszę kwitek na odbiór i co zamierzacie robić?

— Rozważę się za jakąś pracę, przede wszystkim jednak muszę wynieść się z tej nory. Dalszy pobyt tam z małym dzieckiem jest niemożliwy. Zima idzie...

— Tak, to poważny problem.

— Nie będą mi robić trudności? Siedziałem...

— To nie ma znaczenia. Wszystkie instytucje stoją przed wami otworem. Możecie ubiegać się o każdą pracę, na każdym stanowisku.

— Panie majorze, przecież byłem podejrzany o tak poważne przestępstwa...

— Poprowadził mnie do wychodzącego na ulicę placu.

— Widzieliście tych ludzi? W większości to na pewno solidni obywatele, patrioci, ale mogą być wśród nich inni. Nic o nich nie wiemy. Co myślą, co robią... A wy — popatrzyliście na mnie wnikliwie — zostaliście dokładnie prześwietleni. Wiemy o was może więcej, niż wy sami. Nigdzie nie będą robić wstrętów. A gdyby... proszę się do nas zgłosić.

Rozmowę tę zapamiętałem na całe życie. Podniosła mnie na duchu i gdy się dowiedziałem, że za rzeką Swijagą, w raboczym gorodku zwałna się posiada magazyniera bielizny pościelowej, natychmiast zaferowałem swoje usługi.

Naczelnik był rad z mego przybycia.

— Dotychczasowy kładowszczyk, wasz rodak z Polski, odnalazł rodzinę w Ferganie i przynosi się tam. Możecie już od jutra objąć to stanowisko.

— Nie bardzo... Nie mamy gdzie mieszkać. Muszę się rozreżnąć za jakimś kątem.

— Dostaniecie służbowe, wygodne mieszkanie, przy magazynie. Chodźcie, obejrzyjcie je.

Owo „wygodne mieszkanie” okazało się małym pokojem ze stojącą w nim kanonką, a ja się spodziewałem Bóg wie czego.

Jeszcze tego samego dnia przejąłem od mego poprzednika stan materialny magazynu na podstawie znajdującej się w nim ilości poszew, poszewek i prześcieradeł, plus to, co figurowało na kartach ewidencyjnych mieszkańców raboczego gorodka, to znaczy wydanej im pościeli. Spisaliśmy zdawczo-odbiorczy protokół. Głównych, główny księgowy, zatwierdził, zamknął drzwi magazynu na klódkę i wróciłem na Zawolże podzielić się z żoną pomyslną nowiną.

Przez Wołgę przepłynęliśmy się łódką. Przypomniała mi się piosenka z przedwojennego filmu o Stiepanie Razinie, przywódcy powstania chłopsko-kozackiego, który, jak my teraz, popłynął w górę Wołgi ze swymi towarzyszami znośić pańszczyznę i wprowadzać samorząd kozacki...

Wołgo, Wołgo, ruska rzeko,
ty królowo wszystkich rzek,
twoja sława mknie daleko,
wszędzie sławny jest twój brzeg...
W pierwszej łodzi Stiepan Razin,
wpół objawszy księżnę siadł,
on pijany jest nadzieją,
nowe triumfy święci rad...

Skąd się wzięła księżna u boku legendarnego bohatera kozaczyzny, który ogniem i mieczem tepił panów — nie mam pojęcia. Moich wątpliwości chyba nie potrafiłby rozwiązać zarówno autor tej piosenki, jak i scenariusza filmowego.

Z przystani przepłynęliśmy na drugi brzeg Swijagi, dopływu Wołgi. Nie wiedziałem, że ta najdłuższa rzeka w Europie ma tyle dopływów: Mologa, Kostroma, Wietluga, Kama, Samara, Oka, Sura, Szeksna... To tylko nieliczne z zapamiętanych. Szeksnę znalazłem doskonale, przepływa przecież obok Rybińska, gdzie pracowałem ponad rok.

Mój poprzednik, przekazując magazyn, uprzedził mnie:

— Miej się na baczności przed złodziejami. Zwłaszcza mieszkańcami baraków. Przychodzą po bieliznę, tylko patrzą, co zwędzić. Kilka razy usiłowali mnie okraść.

Zabezpieczyłem się, zawieszając w rogu magazynu lustro. Stojąc tyłem do klienta, miałem pełne rozeznanie, co się dzieje za moimi plecami.

Przyszli chłopak, wręczył podpisaną przez komendanta baraku bumazkę na wydanie poszwy i prześcieradła. Gdy odwróciłem się by schować papierek, kątem oka zauważyłem w zwierciadle, jak mój klient błyskawicznie pochwyił z półki jakąś sztukę bielizny i wsunął za pazuchę.

Jakby nigdy nic, podszedłem do drzwi i — cap go za frak.

— Co masz pod fufajką?!

Wyrwał mi się i w nogi. Ja za nim. W biegu krzyknąłem do żony: „Pilnuj magazynu!” I po paru minutach dopadłem zbiegającego Słukłem go na kwaśne jabłko. Od tego wydarzenia już nikt nie próbował uszczuplić powierzonego mej pieczy mienia. Złodziejczak chyba opowiedział kolegom o swojej przestrożce i okrutnym dziadku, który ma oczy z tyłu.

Nadeszła zima, wraz z nią trzydziestostopniowe mrozy. Już nie miałem wyrwać desek w szalonych, opału mieliśmy pod dostatkiem, w pokoiku było ciepłutko. I wiatry nie dokuczały jakoś. W najcięższy mróz wyskakiwałem z baraku w rozpiętej fufajce, nawet nie opuszczałem nauszników malachajki. Po kilkunastu minutach marszu zatrzymała mnie idąca naprzeciw kobiecina:

— Nos, nos! — zawołała.

Spojrzałem zezem na czubek swego organu powonienia. Biały! Dotknąłem — nie czułem. Pośpiesznie nabrałem garść śniegu i rozcierałem zmrażający noś, aż przybrał kolor intensywnej czerwieni.

(dokończenie nastąpi)



Jak zostać milionerem?

Adam Fiala

MOŻNA mieć chęć szczera i tak zwane głębokie wewnętrzne przeświadczenie. Zachęcają. Solidny kapitalizm z istoty swej, jakby to określić, lubi milionerów. Milioner jest to bowiem człowiek, który ciężko pracuje — working hard. Ciężej niż w kamieniołomach. Dwadzieścia czterech godzin na dobę przy telefonie bądź teleksie, a czasami i więcej. Z prywatnym komputerem i kalkulatorem słonecznym.

Gdy jakiś sektor gospodarki rządowej zaczyna kuleć, najlepiej zrobić prywatyzację, czyli odsprzedać go milionerom. Niech już oni się martwią, główkują i napędzają gospodarkę, politykom pozostaną piękne słówka w parlamencie. Milioner czarna robotę zrobi, swój kapitał zainwestuje, jeżeli przegra, to sam straci.

Więc czy w końcu warto być milionerem? Ba, zdania są podzielone, ale kiedyś słyszałem wypowiedź polonijnego dziennikarza-artysty od tych filuterynych malutkich gazetek: „Jeżeli już przyleciałeś do kapitalizmu, to wczuj się w nową sytuację”. Zaczęłem się więc wczuwać w to wczuwanie.

Milionerem przez chęć szczerą zostać najłatwiej. W tym celu, jeżeli się nam uda, bierzemy najprostszą, manualną pracę, najlepiej z żoną. Potem idziemy do banku i prosimy o pożyczkę. Menadżer, tu banki z reguły są prywatne, z promiennym uśmiechem przychyli się do naszej prośby. No bo pracujemy. Więc nasze spłaty są gwarantowane. Oczywiście ze sporym procentem, na tym polega istota dobrego banku.

Kupujemy sobie teraz albo budujemy (firmy aż marzą, by coś dla nas wybudować) pierwszy domek. Domek ten możemy spłacać całe życie, procenty to nieraz idą w górę, nieraz spadają, pechowcy mogą nawet po jakimś czasie z przerażeniem stwierdzić, że stoją ze spłatami w miejscu. Ci, którzy szybciej spłacą kilkakrotną wartość domku, stają przed nowymi problemami: sprzedaż starego, zaciągnięcia nowej pożyczki i kupna kolejnego domu, powiedzmy: z basenem.

Ale już, bracie, jesteś milionerem w pierwszej fazie, kiedy spłacasz ten pierwszy skromny domek, pierwszy samochód, pierwszą łódkę czy wyznaczając na energię słoneczną. Jesteś milionerem, bo możesz to przełożyć na złotówki, a ze starego kraju pamiętasz zarówno śpiew skowronka nad polami jak i brzek cichy złotówki, bez względu na wiek dawne, aktualne i przyszłe poglądy polityczne.

Mając więc te kilkadziesiąt tysięcy australijskich dolarów, choćby w długach, już jesteś milionerem i możesz napisać do znajomych i przesłać zdjęcie kolorowe przy łódce pod palmą. Kwotę tę możesz zdobyć również bez banku, wygrywając choćby w miejscowego totolotka. Australijczycy to hazardziści, ty też już jesteś Australijczykiem. Praktycznie wygrasz do dwustu tysięcy (podobno były takie wypadki wśród Polonii) i już, w przeliczeniu i we własnym przeświadczeniu, jesteś milionerem. Możesz nawet zastanowić się nad powrotem do kraju...

Możesz też mieć wypadek. Wyehodzisz na przykład z krótką nogą, ale masz kilkadziesiąt tysięcy odszkodowania. Co dalej z tym robić, jeżeli masz domek na spłatach, dwa stare samochody (drugi dla żony) i chcesz się wybić? Najlepiej zająć się business, small business, czyli nieduży byznes. Bardzo proste. Wypelniasz druk, wpłacasz niewielką opłatę i już możesz być gastronomikiem, kafełkarczem czy też rozwozi-cielem sprzętów, przeprowadzkarzem, o ile oczywiście umiesz chodzić koło starej rozklekotanej ciężarówce z buda.

Aha, drobiazgi: reklama. Kto nie reklamuje, ten nie istnieje. A ten, kto reklamuje, też nie musi od razu odnieść sukcesu. Reklama słono kosztuje, dzięki reklamie funkcjonują trzy komercyjne programy telewizyjne. Dwa pozostałe są niekomercyjne, w tym jeden narodowy, a drugi etniczny, na którym leci obecnie „Królowa Bona”. Milutka. Znam ją ze stanu wojennego. Teraz sobie znowu oglądam, napisy angielskie u dołu czytam, porównuję, jak tłumacza. (Byłe kierownik budowy to „sir”. No, akurat nie w „Bonie”).

Borowych poznałem jeszcze w Melbourne, kiedy to z hostelu wylądowaliśmy w tak zwanym mieszkaniu pohostelowym, w Heidelbergu. Dzielnica piękna, sławna przed laty był tam prawie sam bush i powstała szkoła słynnych australijskich malarzy impresjonistów, którzy malowali swoje Złote Lata, czyli Golden Summers. Borowym akurat ci impresjoniści tak nie bardzo podchodzili.

Jak Borowi przywieźli ze sobą te kilkadziesiąt tysięcy dolarów, to nie wiem. Wyjechał, bo obrazili się na domiar urzędu finansowego (prowadził prywatną gastronomię), można więc powiedzieć, że z przyczyny wysoczej politycznej. Finanse bowiem, jak mnie nauczono i polityka finansowa to także polityka.

Tu Borowi nabyli mały domek, zaciągając oczywiście pożyczkę, bo tak im doradzono (wszyscy to robią z wyjątkiem byłych literatów), a pieniądze puścili w ruch, na rozkręcenie (ruch-rozruch) interesu tapicerskiego. Podobno wszystko zjadła im reklama. „Gdybyśmy wtedy wiedzieli to, co wiemy teraz...” — tłumaczyła się Borowa, kobieta, która w okresie świetności przewracała zakopiańskie wille. Czym? Nie wiem. Zresztą nieważne.

Borowy poszedł do Dunlopa ugniatać ręcznie opony samochodowe, na overtimach, czyli nadgodzinach. Wyciągał 500 na tydzień bez podatku, później miał wypadek. Borowa poszła do pchania wózków w szpitalu. Swoje też zarobiła.

Mieli więc to wewnętrzne przekonanie, choć czasami przy drinku, jak ich ta chandira za krajem napadali, mawiali: „Nie ma na świecie kraju tak dobrego do prywatnego interesu jak Polska, tylko trzeba wiedzieć, kiedy się z jednego wycofać, przed kolejnym domniemem, i wskoczyć w drugie”.

Inni mieli bardziej z górki. Stopa załapał pracę handymana, podręcznego, w Armii Zbawienia, i od razu pożyczkę. Stopowa była kreślarka, tutaj dobry zawód, załapano ją jeszcze z hostelu, bez języka. Stopa, mimo że milioner tej pierwszej kategorii, czyli z wewnętrznej potrzeby, mawiał: „Szare życie. Praca, praca, spłacanie, zaciąganie”. W kraju miał prywatny zakład naprawy samochodów. Wygnał go podobno głód, to znaczy banie się głodu, lata były ciężkie, strajkowe. Stopa, mimo że lebski chłop, obawiał się jednak, że się sam nie wyżywi. Chciał w Bawarii, żona go pociągnęła do Australii. Jeszcze teraz się łapie na niemieckim liczeniu: ajns, cwał, draj... Nie może zapomnieć mercedesów i tych innych BMW. No i te domy w Australii mu się nie podobają. Takie niepodpiwniczone.

Metek Głodomór, w kraju gabiota, tu poszedł na pomoc do zmywania naczyń, ale w państwową firmę, czyli trudniej go zwolnić i pewne przywileje ma. Jeszcze może, ile wlezie w znaczeniu dosłownym, tylko nie nie

wolno wynieść. Kupił wódek, jeszcze mu mało. Ma też wóg, solidny, ale już jako taksjarski nie lata. „Język trzeba znać, a poza tym ryzyko, panie aboryge-ni to w ogóle nie płacą, uważają, że im się należy”. „Pan ma roboty czy na stałe?” — „Trudno powiedzieć, zobaczymy, jaka będzie koniunktura, znaczy się gospodarcza, bo na polityce i tak się nie polapię”.

Przyszło kiedyś pismo urzędowe, do nas jeszcze na to mieszkanie pohostelowe, że możemy starać się o pożyczkę na dom. Pominąłem. Stopa patrzył na mnie jak na szaleńca. „Bierz pan, bierz pan, kiedy dają”. Nie wziąłem.

Po trzech miesiącach pobytu na tym pohostelowym wyjechał na Zachód. Australii oczywiście. Tam, gdzie Kalifornia, tylko tańsza, bez wstrząsów i tych niesamowitych gwiazd filmowych, czyli do Perth, milionowego miasta nad Oceanem Indyjskim. Pożyczka z Victorią byłaby tylko przysłowiową kulą u nogi. Przejechaliśmy przez pustynię autobusem, bagaże przyszyły koleją, apartament nam wynajęło Polskie Biuro w Perth. Po dwóch miesiącach pobytu w apartamentach dostaliśmy obzerne mieszkanie rządowe nad Oceanem. I w ten prosty sposób nie zostałem milionerem.

Ale Kolanowie poszli do przodu, on malarz pokojowy, ona sprzątaczką, zresztą zawodowa, w kraju też była sprzątaczką, dziecko poszło do pierwszej komunii w miniaturowym, specjalnie z tym na tę okazję fraku. Surrealizm na antypodach.

A tak na ogół to Polak jest tu stroskany. No bo masz dom, samochód, może łódkę na kółkach, ale są jeszcze lepsze domy, samochody i jachty. Ja od razu rozpoznam na ulicy rodaka, nawet nie musi mówić czy też bluźnąć; tu odpowiednikiem bluźnienia jest słowo „bloody”, czyli krwawy. Właśnie rozpoznam przez tę troskę.

Nigdy nie uwierzę, że ktoś przyjechał z powodów psychicznych, materialnych — i owszem. Prawdziwi polityczni to tam pozostali.

No dobrze, a co z tymi milionerami, prawdziwymi? Są tacy. Oglaszają swoje cieniutkie książeczki, własnym sumptem fabrykowane i rozprowadzane, pod tytułem: „Easy money”, czyli jak łatwo i szybko zrobić pieniądze. Tu oni właśnie robią pieniądze na tych książeczkach. Jeden naklepił szczerze napis: „Najlepszym sposobem zrobienia pieniędzy jest napisanie i rozprowadzenie własnej książeczki o tym, jak zrobić pieniądze”.

No, oczywiście dają i praktyczne rady, jak na przykład w ciągu jednego dnia pożyczyc 50 tysięcy w kilku bankach. Rzecz polega na tym, że w ciągu jednego dnia i banki nie potrafią się ze sobą porozumieć. Jest też trochę mistycyzmu: „Usilnie myśl, leżąc w wannie (tu prze-ważnie prysznic), że chcesz zrobić pieniądze, ba, najlepiej myśl, że już je zrobiles”.

Czy można poza książeczkami? Można, ale znacznie trudniej. W pionierskich latach lepiej bywało, bo było znacznie więcej wolnych gruntów, a najlepiej spekulować nieruchomościami. Uwaga, studia przeszkadzają. Solidny milioner zaczyna w wieku szesnastu lat i jeżeli już kończy, to połowę średniej czyli high school. Więc proszę bardzo.

kamena 11

Horoskop Stelli

Dobrej zabawy!



20 stycznia — 18 lutego

ON: Zrobiłeś się bardzo zachlanny na pieniądze, które gotów jesteś zdobywać kosztem własnego zdrowia i własnego wypoczynku. Jeżeli i w tym roku nie wyjedziesz na urlop w gronie rodzinnym, częściej będziesz

gościć w przychodniach lekarskich. Zwróć baczniejszą uwagę na dom: żona zaczyna ci się buntować, a dzieci tracą z tobą kontakt. Stanowczo poświęć im za mało czasu.

Na swans raczej nie licz. Reorganizacje, które nastąpią w miejscu twojej pracy, mogą przebiec do doprowadzić nawet do pewnych perturbacji zawodowych. Jesteś ostatnio zbyt wybuchowy, zabierasz głos bez większego zastanowienia się, przez co krzywdzisz nie tylko innych, ale i siebie. Temperament powinienes częściej poskramić.

Szczęśliwe liczby to parzyste między 8 a 32. Jeśli jednak grywasz w Toło-Lotka, to nie przesadzaj w zawieraniu zakładów.

ONA: Powinnaś bardziej zainteresować męża swoją osobą, wykazując więcej inicjatywy. Zbyt lubisz podobać się innym. Na razie są to niewinne flirty, ale w połowie roku ktoś może cię zainteresować poważnie. Jeśli nie zdołasz się obronić, komplikacje rodzinne mogą być bardzo poważne. Koniecznie namów męża na wspólny urlop. Jego upór nie jest tak wielki, jak ci się wydaje.

Jeśli masz podrastające dzieci, poświęć im więcej uwagi. Zbyt dużo czasu spędzają samodzielnie, zainteresuj się, z kim się spotykają, dlaczego wracają późno do domu. Pamiętaj, że własną mogą one mieć poważne kłopoty w szkole.

W pracy zawodowej nie spodziewaj się specjalnych nowości. Nie ufaj jednak zbyt przyjaźniolom, bo niektórzy obgadują cię poza twoimi plecami.

Szczęśliwe liczby to również parzyste. Zwróć uwagę na takie jak: 12, 16 i 24. To mogą być również szczęśliwe dni miesiąca.



19 lutego — 20 marca

ON: Ostatnio zbyt dużo interesujesz się kobietami. Czy nie zwróciłeś uwagi, że nawet bliscy koledzy zaczynają się z ciebie podśmiewać? Tylko tobie się wydaje, że jesteś tajemniczy, inni dobrze cię przejrzel, łącznie z twoim szefem, który przestał cię już faworyzować. Inna rzecz, że ci, których uważasz za przyjaciół, gotowi są raczej szkodzić niż pomagać. Sam jesteś nieco winien, bo nie zawsze zachowujesz koleżeńską postawę.

W domu atmosfera jakby się trochę psuła. Te twoje późne powroty budzą podejrzenia, a przecież już niejedną raz sparzyłeś się na kłamstwo. Odzyskanie utraconego zaufania będzie bardzo trudne, jeśli nie zmienisz swego stosunku do życia.

Półowa roku może stanowić dla ciebie dość trudny okres, kto wie, czy właśnie wówczas nie nastąpi kryzys w małżeństwie. Musisz zachować wiele taktu, ale przede wszystkim samemu się zdecydować, czy gotów jesteś zmienić dotychczasowy styl życia.

Szczęśliwe liczby są związane z datą twoich urodzin.

ONA: Jeżeli ty jesteś romantyczna, to nie znaczy, że twój mąż (czy przyjaciel) również posiada tę cechę. Zastanów się, co możesz sama uczynić, na jakie pójść ustępstwa, aby atmosfera w domu uległa poprawie. Bierz życie tak, jakie ono jest, staraj się przeczekać złe chwile, a nie zadrażniać sytuacji.

Panny spod znaku „Ryb” powinny mieć więcej zdecydowania. Lata leca, na królewicza z bajki nie ma co liczyć. Dobrze, jeśli partner będzie spod znaku „Panny”. Absolutnie nie interesuj się mężczyznami żonatymi, bo łatwo możesz zakochać się po uszy, co bardzo skomplikuje ci życie.

Szczęśliwe liczby również związane są z datą urodzin — własnych jak i partnera. Najmilszym miesiącem będzie wrzesień.



21 marca — 19 kwietnia

ON: Dojrzał już czas, abyś się ustatkował. Podobnie ci się rola pocieszyciela, niestety, za mało dajesz z siebie. Stajesz się coraz większym intruzem i nie umiesz trzymać języka za zębami. Zaczynałeś od małych kłamstw, a teraz brniesz dalej, co odrzuca od ciebie nawet tych ludzi, którzy dotąd okazywali ci dużo przyjaźni.

(Sytuacja bardziej się gmatwa, kiedy mężczyzna spod znaku „Barana” jest żonaty. Opanowania wystarczy na rok — dwa, potem wracają dawne przyzwyczajenia).

W pracy układać się będzie różnie, najlepiej poradzą sobie ci, którzy sami kierują innymi ludźmi, bądź prowadzą własną działalność gospodarczą. Ale uwaga: własną należy spodziewać się większych kontroli. Nawet mały kant może pociągnąć za sobą poważne kłopoty. Przy ewentualnych wyjazdach zagranicznych wystrzegaj się handlu. Raz się udało, ale to nie może być regułą.

Nad ewentualną propozycją zmiany miejsca pracy zastanów się dogłębnie. Niczego nie wolno ci podejmować pochopnie.

Szczęśliwe liczby to trzydzieste i czterdzieste. Może ci się trafić większa wygrana w Ligę Angielską, ale mniej stawiaj na zwycięstwa gospodarzy. Pokera unikaj jak ognia!

ONA: Gubi cię twoje aktorstwo. To, co dobre na scenie, nie zawsze jest dobre w życiu. Niekiedy zbyt mocno przeciągasz strunę: mężczyzna ma prawo sądzić, że dasz mu więcej niż zamierzasz.

W małżeństwie to aktorstwo absolutnie się nie oplaca. Jeśli nie nauczysz się postępować prosto i szczerze, jeśli będziesz stwarzać pozory, iż wszyscy wokół cię uwielbiają, co — jak dobrze wiesz — jest dużą przesadą, wówczas może się zdarzyć, że z mężem nie znajdziesz wspólnego języka.

Szczęśliwe liczby to dwudzieste i czterdzieste, a także daty urodzeń dzieci i rodziców. c.d.n

Krzyżówka nr 1 szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment powieści współczesnego polskiego pisarza. Pierwsze litery 18 początkowych wyrazów pomocniczych utworzą imię i nazwisko pisarza oraz tytuł powieści, z której pochodzi cytowany tekst. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami.

- Wyrazy pomocnicze:
1. katolicki pogląd filozoficzny — 1. 12. 44. 32. 105. 107.
 2. tubylec w Polsce — 2. 54. 185. 191. 154. 30. 167. 22. 161.
 3. utwór — 38. 196. 174. 133. 108. 184.
 4. część składowa — 37. 193. 165. 141. 149. 110. 152.
 5. zbiega lub wody — 14. 177. 78. 147. 135. 145.
 6. dobry los, powodzenie — 4. 126. 120. 98. 61. 49. 182. 124. 10.
 7. katarakta — 13. 188. 90. 150. 130.
 8. do dźwignia dwu wiader — 8. 158. 180. 103. 144. 192. 16.
 9. przeciwstawny obóz — 138. 85. 128. 168. 117. 97. 187. 171.
 10. czarownica — 35. 162. 136. 113. 172. 6. 160.
 11. ogólne darowanie lub zmniejszenie kar — 5. 23. 123. 68. 166. 79. 89. 178.
 12. baranie futro — 3. 156. 69. 181. 116. 155.
 13. nudnie rozciągnięty fragment utworu — 74. 64. 140. 45. 188. 148. 102. 143.
 14. cesarstwo, potężne państwo — 9. 53. 52. 122. 157. 77. 151. 15.
 15. dawno znana trucizna — 17. 170. 118. 39. 46. 27. 57. 190.
 16. przypinana do stroju ozdoba — 33. 137. 51. 76. 121. 99. 41.
 17. gładz na głowie — 18. 34. 94. 67. 71. 131.
 18. tam pociąg o 15.10 — 24. 194. 146. 176.
 19. komedia Gogoła — 7. 129. 163. 134. 96. 189.
 20. np. taksometr — 25. 142. 104. 116. 83. 95. 179.
 21. wieńczy budowę — 175. 36. 73. 29. 183. 153.
 22. na rewersie monety — 114. 86. 139. 10. 55.
 23. CWKS — 173. 70. 63. 60. 100.
 24. na głowie panny młodej — 88. 72. 169. 31. 43. 93.
 25. wyraz — 53. 42. 82. 66. 48.
 26. przyjaciel Stasia i Nel — 111. 75. 132. 40.
 27. miejsce, stanowisko bojowe — 50. 65. 119. 109. 47. 164. 87.
 28. stolica nadbałtyckiej republiki — 11. 28. 81. 112.
 29. nacisk — 21. 101. 80. 195. 91. 84.
 30. nazywają tak klawiaturę lewej ręki w akordeonie — 159. 92. 59. 106.
 31. znieślawienie, plotki — 26. 127. 20. 56. 62. 125.

- Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru, pod adresem redakcji (skr. poczt. 231. 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 1000 złotych.

- niaki, brakarz, usta, yeti, Mall, Sade, eden, tuba, ospa, miny, komnata, makreła, kapitanat, prawidło, Różewicz, szpargaly, odaliska, Lejzorek.
Pionowo: popis, Kępno, Idaho, zakon, miara, Irian, pięta, alibi, koszt, ćwok, udo, kosa, obsesja, miotła, abisał, Ujsoły, Miazga, Ententa, czar, idy, tryl, runda, żarna, Krenz, katar, Ruhra, Ekier, rubel, klacz, aszyk.

**ROZWIĄZANIE
KRZYŻÓWKI NR 22 Z SZYFREM**
Poziomo: przepaść, ciężarek, Winiejsz, pokrętko, anarchia, kontroler, si-

Szyfr:
Nie śnij chłopu księciem, bo będziesz diabliem zięciem.
Tadeusz Nowak
„Diabli”
Nagrodę wylosowała Zofia Stępień ul. Skłodowskiej 18 m. 14, 20-029 Lublin.

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12				
13	14	15	16	17	18	19	20		21	22	23	24	25	26	27	28
29	30		31	32	33	34		35	36	37	38	39	40	41	42	43
44		45	46		47	48	49		50	51	52	53	54	55	56	
57	58		59	60	61		62		63	64	65	66	67	68		69
70		71	72	73		74	75		76	77	78		79	80	81	82
	83	84	85	86	87	88	89	90		91	92	93		94	95	96
97	98	99	100	101	102	103		104	105	106		107	108	109	110	111
112		113	114		115	116	117	118	119	120	121	122	123	124	125	
126	127	128	129	130		131	132	133		134	135	136		137	138	139
140	141	142	143	144	145	146		147	148	149	150	151		152	153	
154	155	156	157	158	159	160		161	162	163		164	165	166	167	
168	169	170	171	172	173	174	175	176		177	178	179		180	181	182
183	184	185	186		187	188	189		190	191	192	193	194	195	196	

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (sprawy literackie), Ireneusz J. Kamiński, Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych zastrzega sobie prawo skrótów.

Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im. „KWN” w Lublinie ul. Unicka 4.

Wydawca Robotnicze Spółdzielnie Wydawnicze RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4 tel. 355-34.

Adres redakcji: 20-029 Lublin ul. Skłodowskiej 18.

Telefony sekretariat redaktor naczelny 253-92, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 375-35. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam 2260, 23.12.87, A-4